

CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-86000

S
(23a) 2000

O Wołyniu, jego historii i kulturze ♦ O ludobójstwie ♦
O rocznicy kaźni Profesorów na Wulce ♦ O rocznicy
bitwy pod Zadwórzem ♦ Rozmowa z min. A. Przewoź-
nikiem ♦ O Krzemieńcu i Liceum Krzemienieckim ♦
Słownik wołyński ♦ Wydarzenia ♦ Kronika ♦ Książki

WOŁYŃ I (NIE TYLKO)

Stało się już prawie tradycją, że corocznie ukazuje się numer specjalny naszego kwartalnika. Dzięki łaskawości sponsora – Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, a jej sekretarza generalnego pana Ministra Andrzeja Przewoźnika w szczególności, również w tym roku wydajemy numer dodatkowy, po raz trzeci z rzędu. I już tradycyjnie ukazuje się on na jesieni, między numerami 3 i 4, a wzięło się to stąd, że właśnie w tym czasie obchodzimy najważniejszą dla nas rocznicę – zakończenia Obrony Lwowa w 1918 roku. W numerach specjalnych poruszamy jednak nie tylko historię tamtej, listopadowej obrony. Tematów obrony i walki o wolność jest wszak niemało. Pisaliśmy o obronach Lwowa we wcześniejszych wiekach (1648, 1848) oraz w naszym, odchodzącym wieku XX.

My, wschodni małopolanie, mamy dwa regiony sąsiedzkie – z oboma coś nas łączy, coś nas dzieli. Z zachodnią Małopolską łączy nas właśnie owa pradawna *małopolskość*, przypieczętowana wspólnym losem w okresie dla współczesnych pokoleń najważniejszym: w wieku dziewiętnastym. A to dzieli nas z Wołyniem – tam historia układała się inaczej niż po południowej stronie górnego Bugu.

Z Wołyniem łączy nas za to nasza *wschodniość* nasze wspólne wielowiekowe nadstawiane karku na najazdy dawnych i współczesnych barbarzyńców, a także współzycie z mniejszością narodową z innego niż nasz kręgu kultury, tradycji, obyczaju. Tego nie rozumieli zachodni małopolanie – oto co nas z nimi dzieliło (ostatnio trochę mniej – oni powoli dojrzewają).

Wołyń. Kraina bliska, a mało znana, o bogatej, burzliwej historii, jeszcze bardziej zaufanej od naszej, wschodniomałopolskiej. Ten numer „S” poświęcamy więc głównie Wołyniowi. Wołyń należał jeszcze do Litwy, kiedy ziemie południowo-wschodnie – kiedyś piastowskie – już do Polski za Kazimierza Wielkiego powróciły. Trzeba było jednak niewielu lat, by i Wołyń stał się częścią Rzeczypospolitej Obojga Narodów (1386). Kilka wieków później, wraz z upadkiem Polski, w Małopolsce powstała austriacka Galicja, Wołyń zaś zajęła Rosja. A po międzywojennym dwudziestoleciu, Wołyń i Małopolskę Wschodnią spotkał podobny los...

Wołyń odegrał piękną rolę w historii Polski. Wiekami zagrożony przez najazdy, wydał wielu wybitnych żołnierzy, hetmanów, generałów, ale także mężów stanu, działaczy, ludzi kultury – od Wieszcza Juliusza poczynając. Kraina zabudowała się obronnymi miastami, zamkami, świątyniami.

Straszny los dotknął wołyńską ziemię w II wojnie światowej. Słowo *W o ł y ń* stało się symbolem bezprzykładnych cierpień z jednej strony, a barbarzyństwa z drugiej. Zwyciężyło to drugie...

Ale historia jeszcze się nie skończyła. Póki co, wspominamy wołyńską gehennę i groby, lecz także wielką kulturę, tradycje i ludzi Wołynia.

Jest w tym numerze nie tylko o Wołyniu. W bieżącym roku mija 60. rocznica zamordowania profesorów lwowskich – z tej okazji przytaczamy przemówienie JM Rektora UJ przy ubiegłorocznym odsłonięciu tablicy upamiętniającej kaźń (o tablicy – patrz CL 1/2000).

Także w tym roku obchodziliśmy 80. rocznicę wojny bolszewickiej i pamiętnej bitwy pod Zadwórzem – wydarzenia owe wspominaliśmy szeroko w CL 2/95 i S/98, w niniejszym numerze zaś notujemy dziwne podejście nowych polskich *elit* do tamtych historycznych wydarzeń (patrz *Z tamtej strony*). Można także w tym numerze przeczytać o medycynie we Lwowie czasu II wojny, ale jest tam i o Wołyniu, i o kaźni profesorów na Wulce.

Słownik geograficzno-historyczny w tym numerze dotyczy wyłącznie miejscowości Wołynia, a w dziale *Książki-czasopisma* omawiamy głównie wydawnictwa o tematyce wołyńskiej.

Na koniec: gorące podziękowanie należy się Pani Danucie Trylskiej-Siekańskiej, krzemieńczance, za merytoryczny współudział w zredagowaniu tego numeru wołyńskiego.

FELIETON O ZBRODNI I PONIEWIERCE

*K*iedy w 1943 roku Niemców odkryli groby pomordowanych w Katyniu oficerów polskich, mieszkałam w Krakowie przy Rynku Głównym, w kamienicy, której okna wychodziły na Ratusz. Na wieży ratuszowej został powieszony olbrzymi ekran, na którym, ku naszemu przerażeniu i zdumieniu, pokazywano zetłale mundury, porzuciwane orzelki z oficerskich czapek i rozkładające się zwłoki. Było to coś takiego, co w tych okupacyjnych latach, samych w sobie okrutnych, napawało grozą i w co z trudem wielkim uwierzono, a co jak wiemy, okazało się prawdą. Wspominam to stale, w szczególności wtedy, kiedy obchodzone są kolejne rocznice tej zbrodni.

Alte te wspomnienia łączą się zawsze w mojej pamięci z osobą Pani G. Los zetknął mnie z nią zupełnie przypadkowo: wynajmowałyśmy u niej z kuzynką w czasach tuż powojennych pokój. Pani G. pochodziła ze Śląska, gdzie jej mąż był lekarzem. W czasie wojny została wraz z dwiema córkami wyrzucona przez Niemców ze swojego mieszkania i przeniosła się do Krakowa, gdzie miała rodzinę. Oczywiście musiała na Śląsku zostawić wszystko, co posiadała. Wojnę przeżyła z trudem, wyprzedając to, co udało się jej uratować z domu. Żyła cały czas nadzieją na powrót męża, ale ta nadzieja zakończyła się wraz z odkryciem katyńskich grobów. Nie było wątpliwości, że jej mąż tam się znajdował. Pani G. pochodziła z dosyć zasobnego domu i nie była przygotowana na trudy życia. Nie miała po prostu żadnego zawodu. I otóż po tak zwanym wyzwoleniu znalazła się w sytuacji zupełnie beznadziejnej. Nic się jej nie należało. Izba lekarska, która przez krótki czas pomagała wdowom po lekarzach zaginionych w czasie wojny, została rozwiązana. Przez jakiś czas pomagali jej koledzy męża, ale i to się urwało, bo pogarszał się status materialny lekarzy. Pani G. najpierw zatrudniła się przy jakichś pracach chatupniczych, co też się skończyło, a wreszcie zaczęła poszukiwać posady. Szło to jak po grudzie. Wreszcie dostała jakąś słabo płatną pracę. To, co płaciłyśmy jej za pokój, wystarczało na pokrycie wydatków mieszkaniowych. Pensja – ledwo, ledwo na wyżywienie. Po jakimś czasie uświadomiłam sobie, że Pani G. właściwie prawie nie je. Miała przecież na utrzymaniu dwoje nieletnich dzieci.

Cóż takiego Pani G. zawiniła, że od ojczyzny nic jej się nie należało? Oto we wszystkich podaniach o pracę pisała: mąż zginął w Katyniu. A na domiar złego wiadomo było, że każda wdowa katyńska ma w ręku koronny dowód na to, że zbrodni nie popełnili Niemcy: kartkę wystaną z Katynia na długo przed przybyciem wojsk niemieckich. Kiedy więc odbywają się z wielką pompą uroczystości katyńskie, z jednej strony uznają to, że zwyciężyła prawda, a z drugiej strony staje zawsze przede mną obraz zabiedzonej Pani G.

Święta Królowa Jadwiga na widok zaptakanych pogan, których zmuszono do porzucenia ich wierzeń, pytała: któż im zwróci ich tzy? Ja mam stale ochotę zapytać, kto zwróci Pani G. i tym wszystkim jej podobnym lata niezawinionej poniewierki?

Barbara Czaczyńska

Feliks Budzisz

PRZEMILCZANE LUDOBÓJSTWO

Lata 1942–45 tkwią bolesnym cierpieniem w pamięci polskiej ludności Kresów Południowo-Wschodnich, w tym Wołynia. W tamtych latach Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów i jej zbrojne ramię – Ukraińska Powstańcza Armia dokonały zbrodni ludobójstwa na polskiej ludności. Tylko na Wołyniu w 1943 r. wymordowały około 60 tysięcy osób, głównie dzieci, kobiet i starców. W 1944 r. rzezie ludności polskiej objęły następne województwa – tarnopolskie, stanisławowskie i lwowskie oraz wschodnie powiaty województw lubelskiego i rzeszowskiego*. Liczba ofiar ludności polskiej wynosi kilkaset tysięcy.

W latach 1943–44 trudno znaleźć dzień, w którym nie dokonano by mordów na ludności polskiej, a były dni, w których zabito tysiące, np. 10, 11 i 12 lipca czy 30 sierpnia 1943 r. Na 11 lipca przypada apogeum zbrodni ludobójstwa. Była to najkrwawsza niedziela w historii polskiego narodu.

Pod względem zasięgu terytorialnego, ilości ofiar i barbarzyństwa oprawców –

zbrodnie dokonane w tę niedzielę przewyższają wszystkie inne, dokonane kiedykolwiek na ludności polskiej w ciągu jednego dnia. W blisko stu miejscowościach Wołynia, wsiach i osadach, najbardziej bestialskimi metodami wymordowano owej niedzieli ponad 10 tysięcy Polaków.

W siedmiu wołyńskich kościołach hajdamaccy siepacze z UPA zabili ponad tysiąc wiernych, nie oszczędzając dzieci przystępujących do Pierwszej Komunii św. ani księży. W kościele w Porycku podczas mszy św. upowcy obrzucili granatami wiernych i otworzyli do nich ogień z broni ręcznej i maszynowej, zabijając blisko 1000 osób. Rannych dobijali strzałami w głowę. Ks. Szawłowski, odprawiający mszę, zmarł wkrótce z odniesionych ran. Podpalony przez upowców kościół z zabitymi i rannymi ugasiła ulewa.

W kisielińskim kościele napadnięci wierni podjęli desperacką obronę, dzięki której część ich ocalała. – *Po nabożeństwie – wspomina uczestnik obrony W.S. Dębski – chór jak zwykle zaśpiewał „Żegnaj, Królowo”. Ludzie zaczęli wychodzić. Wtedy ze wszystkich stron nadbiegli upowcy. Zaniepokojeni ludzie cofnęli się do kościoła. [...] Od zewnątrz dobiegł rozkaz: wychodźcie po sztyroch! Wyszło z kościoła około 80 osób. Wszystkie zostały zaraz zastrzelone. Reszta wiernych zabarykadowała się w plebanii i podjęła rozpaczliwą obronę, dysponując jedynie siekierą oraz cegłami i kafłami z rozbieranych pieców. Po północy banderowcy wycofali się w obawie, że strzelanię mogli usłyszeć Niemcy.*

W tamtą apokaliptyczną niedzielę 11 lipca 1943 r. upowcy wymordowali również wiernych w kościele w Krymnie; w Chrynowie zabili przy ołtarzu ks. Kotwickiego i blisko 200 osób nieopodal ko-



Ruiny kościoła w Kisielinie, gdzie rozegrała się krwawa rzeź

ściola; w Swojczowie w kościele oraz w pobliżu zabili kilkaset osób.

W tę najkrwawszą niedzielę UPA wycięła ludność polską całych wsi. W Dominopolu zabito 240 osób, ocalało zaledwie kilka, które dopadnięto później w innej miejscowości i zamordowano. W Orzeszowie zabito 306 osób, w Gucinie, w starej kuźni upowcy spalili 140, w Kałuszynie spędzili do stodoły i wymordowali 107 osób, w Teresinie 116. Powtórzmy: liczba miejscowości, gdzie tej niedzieli dokonano rzezi sięga stu.

O często stosowanej *strategii* rzezi w 1943 r., zwłaszcza w miesiącach letnich, zeznał na procesie jeden z najokrutniejszych organizatorów ludobójczej eksterminacji ludności polskiej Wołynia, Jurij Stelmaszczuk, dowódca północno-zachodniego zgrupowania UPA: – *Robiliśmy to tak: spędzaliśmy całą ludność polską w jedno miejsce, otaczaliśmy ją i dokonywaliśmy rzezi. Następnie kopaliśmy głębokie doły i dla zatarcia śladów strasznej mogiły paliliśmy na niej ognisko. I szliśmy dalej. Przechodziliśmy od wsi do wsi, dopóki nie wyniszczyliśmy wszystkich ludzi...*

Mordy były okrutne, w najwyższym stopniu sadyistyczne. Śmierć od kuli była najlżejsza i o taką modliły się ofiary w przedśmiertnej trwodze. Najbardziej wybujała czarna wyobraźnia nie jest dziś w stanie wyimaginować tych najdzikszych okrucieństw, jakich dopuszczali się na swoich ofiarach zdegenerowani oprawcy z UPA. Dzieci mordowano na oczach rodziców, bezsilnych i oszalałych z bólu i rozpacz. Jakże często dzieci były świadkami okrutnego mordu na rodzicach i rodzeństwie.

Ci, którym udało się ująć z życiem, nierzadko z zadanymi przez bandytów ranami, ci, którzy widzieli śmierć swoich bliskich, tracili zmysły. Wielu świadków tamtych zbrodni dotychczas nie może odzyskać psychicznej równowagi. Gdy próbują wrócić pamięcią do tamtych scen rzezi, nerwy odmawiają posłuszeństwa. I tak już będzie do końca ich życia.

Tym, którzy przeżyli banderowskie rzezie, na zawsze wryły się w pamięć koszmarne dni i noce, pełne lęku i trwogi, ciągnące się jak wieczność. Zapamiętali *czerwone noce*, spędzane w ukryciu – w zbożu, krzewach, ostępach leśnych, na moczarach. Pamiętają czas, kiedy przygniatało bolesne zwątpienie, żal, rozpacz. Każdy nie-

pokój we wsi, ujadanie psów, szelest liści poruszanych wiatrem czy krzyk ptaka wzbudzały lęk, napinały nerwy do bólu, sprawiały, że serce zaczynało łomotać i trwoga przenikała ciało drżeniem. *Boże, ratuj! Matko Najświętsza, ocal choć nasze dzieci!* – powtarzali rodzice. W chwilach ostatecznych budził się już tylko instykt obronny – ucieczki, jak u zaszczutego zwierzęcia.

Lękowi i trwodze towarzyszył piekący żal nie tyle własnego życia, co życia najbliższych. Te uczucia i myśli paliły nieustannie – przez tygodnie, miesiące, dominowały nad wszystkim, paraliżowały, wykańczały nerwowo. Ludzie przejęci hiobowymi wieściami, dochodzącymi co dzień, krzżeli się po swoich obejściach jak cienie, skuci strachem, pochłonięci jedną myślą – ocalić życie najbliższych: dzieci, rodziców, rodzeństwa. A gdy już zawodziły wszystkie nadzieje, niektórzy godzili się na najgorsze. Pamiętam, że kiedy matka licznej gromadki dzieci straciła nadzieję na ocalenie, ubrała je w odświętne ubranka, tłumacząc im, że na spotkaniu z Panem Bogiem trzeba schludnie wyglądać.

Takimi wspomnieniami dzielą się Kresowiaczy, dzisiaj już sędziwi, schorowani, przy końcu swego jakże dramatycznego życia.

W tamtym czasie nie było na Wołyniu wsi, w której ludność polska, pozbawiona osłony, nie została by w całości lub w dużej części wymordowana. Ochronę w miastach i miasteczkach zapewniały – nie zawsze skutecznie – niemieckie i węgierskie gar-



Grób Ukraińca S. Maksymiuka (na cmentarzu prawosławnym w Łucku), który uprzedzał Polaków o grożącym im niebezpieczeństwie

nizony. W najliczniejszych jednak przypadkach ludność polską ochraniały przed zagładą powstające spontanicznie oddziały samoobrony i partyzanckie, organizowane najczęściej przez AK i Bch. Warunki życia w bazach samoobrony były wyjątkowo ciężkie. Wielu uciekinierów, z braku miejsc w domach, mieszkało w stodołach, chlewach, ziemiankach. Jesienią i zimą dukała dotkliwy chłód, głód i choroby. O lekach i opiece lekarskiej można było tylko marzyć. Osoby chorowite i w podeszłym wieku skazane były na nieuchronną śmierć. Zdesperowana ludność szukała żywności w sąsiednich, opuszczonych wsiach, gdzie często była mordowana przez UPA. W bazach samoobrony dominował strach, przynębianie, niepewność jutra. Nie było prawie rodziny, w której nie opłakiwano by bliskich – ofiar banderowskiego terroru. Trzeba przyznać, że w tych dramatycznych warunkach władze samoobrony i księża dokładali maksimum starań, by utrzymać dyscyplinę, porządek i podtrzymać zdesperowaną ludność na duchu, pomóc jej w tej gehennie trwać.

Wokół ludobójstwa na Kresach narosło wiele nieporozumień i kłamstw. Kilku dziesięciolecie milczenie o tamtych tragicznych wydarzeniach umożliwiło sprawcom zbrodni zatarcie wielu jej śladów i sfabrykowanie kłamliwych wersji wypadków oraz ich przyczyn. Banderowscy pamiętnikarze i inni apologetyci UPA stworzyli całą wielojęzyczną literaturę, w której wybielają zbrodniarzy, przerzucając często winę z oprawców na ofiary. Pomagają im w tym fałszowaniu historii i nasze polskie media, zwłaszcza niektóre ogólnopolskie gazety.

Upiornym paradoksem historii jest, że zbrodnie OUN-UPA nie zostały potępione przez międzynarodowe i polskie instytucje, np. przez nasz parlament. Tysiące zbrodniarzy z OUN-UPA czy dywizji SS Galizien uciekło na Zachód i korzystają tam z bezkarności. Korzystał z niej główny ideolog ludobójstwa na Kresach Mykoła Lebed' – *Ruban*, który mieszkał przez lata w USA, opływając w dostatki. W państwie ukraińskim wielu oprawcom postawiono pomniki, ich imionami nazwano ulice, place, osiedla.

[...] Ale szczytem arogancji jest stawianie takich pomników na terenie RP – i to bez zezwolenia polskich władz i wbrew katerycznej opinii naszych społeczności lokalnych. Podobne przykłady potwierdzają tezę, że zbrodnie przemilczane, nie napiętnowane, nie ukarane – sprzyjają przekonaniu o bezkarności, bezsilności prawa i utwierdzają przestępców w przeświadczeniu, że mordując – działali słusznie.

Pocieszający jest jednak fakt, że kult faszystowskiej OUN-UPA jest zjawiskiem raczej odosobnionym, zwłaszcza na wschód od Zbrucza, i – miejmy nadzieję – nie zagraża całemu społeczeństwu ukraińskiemu wzrostem orientacji profaszystowskich. Główne kierunki rozwoju Ukrainy to demokracja i zacieśnianie więzów z Europą, gdzie nie ma miejsca dla jakichkolwiek znaczących form szowinizmu. Pojedynczym polsko-ukraińskim tendencjom w dużym stopniu sprzyja fakt, iż Polacy z Kresów – mimo doznanych bolesnych krzywd – nie żywią do narodu ukraińskiego jako całości złych uczuć. Wprost przeciwnie – pragną dla nich pomyślności i sukcesów, bo demokratyczne państwo ukraińskie może stać się gwarancją pokoju w tej części Europy.

* Województwo rzeszowskie w układzie po II wojnie. Przed wojną było to wojew. lwowskie.

FELIKS BUDZISZ, ur. w Radowiczach, pow. Kowel. W 1943 wraz z rodziną uszedł przed banderowcami do Zasmyk, gdzie jego ojciec działał w samoobronie AK. W 1944 wyjechał za Bug, osiadając czasowo w pow. chełmskim. Ukończył gimnazjum w Pionkach, liceum pedagogiczne w Radomiu i studia filologiczne na WSP w Krakowie oraz pedagogiczne na Uniwersytecie Warszawskim. Pracował w Liceum Pedagog. w Chełmie Pomorskim, potem w Studium Języków Obcych Politechniki Gdańskiej, od 1991 na emeryturze. Publikuje artykuły w swojej specjalności zawodowej oraz o okupacyjnych losach ludności polskiej na Wołyniu. Wydał wspomnienia *Z ziemi cmentarnej* (1999). Działa w Gdańskim Środowisku Żołnierzy 27 WDP AK.

27. WOŁYŃSKA DYWIZJA PIECHOTY ARMII KRAJOWEJ

W połowie 1943 r. na Wołyniu utworzono pierwsze oddziały partyzanckie do obrony ludności polskiej przed szalejącym terrorem nacjonalistów ukraińskich. Szczyt rozwoju tych oddziałów przypada na styczeń–maj 1944 r., spowodowany szybkim zbliżaniem się frontu wschodniego i koniecznością przerwania do do otwartych działań bojowych przeciw Niemcom w ramach planu „Burza”. Z istniejących już ugrupowań partyzanckich, sił samoobrony oraz zmobilizowanych oddziałów konspiracyjnych sformowano 27 Wołyńską Dywizję Piechoty AK, liczącą 6558 żołnierzy. Utworzono dwa zgrupowania pułkowe: kowelskie o kryptonimie „Gromada” w składzie pięciu batalionów piechoty (*Sokół, Jastrząb, Trzask, Kord, Siwy*) i szwadronu kawalerii (*Hińcza*) oraz włodzimierskie o kryptonimie „Osnowa”, składające się z trzech batalionów piechoty (*Bogoria – później Zajęc, Lech, Łuna*), samodzielnej kompanii (*Sokół II*) i szwadronu kawalerii (*Jarosław*). Ponadto dywizja posiadała batalion piechoty (*Gzyms*), będący dyspozycyjnym oddziałem dowódcy dywizji, pododdziały łączności, saperów, rozpoznawcze oraz służby kwatermistrzowskie, służbę zdrowia (dwa szpitale), żandarmerię, duszpaństwo i inne.

Dywizją dowodzili kolejno: płk Kazimierz Bąbiński ps. *Luboń*, ppłk. Jan Wojciech Kiwerski ps. *Oliwa*, mjr Jan Szatowski ps. *Kowal*, mjr Tadeusz Sztumber-Rychter ps. *Żegota* i płk Jan Kotowicz ps. *Twardy*.

Działania bojowe dywizji w ramach planu „Burza” w swej początkowej fazie objęły obszar czterech powiatów, rozciągających się od Styru do Bugu i od szosy Luck–Włodzimierz Wołyński do linii kolejowej Kowel–Dorohusk. Następnie przeniosły się na teren południowego Polesia i zakończyły na Lubelszczyźnie. W działaniach bojowych 27 WDP AK można wyodrębnić następujące etapy:

- działania prowadzone w obronie ludności polskiej, zagrożonej przez nacjonalistów ukraińskich (wiosna 1943 – początek 1944);
- mobilizacja oddziałów konspiracyjnych i formowanie dywizji, walki o poszerzenie bazy operacyjnej do działań w ramach planu „Burza” (początek I 1944 – koniec III 1944);
- udział w operacji kowelskiej (2-21.IV.1944);
- walki na Polesiu (22.IV. – 9.VI.1944);
- udział w akcji „Burza” na Lubelszczyźnie (10 VI – 25 VII 1944).

Na szczególną uwagę zasługuje udział dywizji w operacji kowelskiej. Prowadzone przez trzy tygodnie walki z regularnymi jednostkami wojsk niemieckich miały charakter działań frontowych. Dywizja utrzymywała i kontrolowała znaczny obszar między Turią i Bugiem (ok. 800 km kw.), blokując wyjście Niemców na skrzydło wojsk sowieckich, działających na kierunku kowelskim. Działania dywizji w tym rejonie stworzyły groźbę przerwania linii komunikacyjnej Chełm–Luboml–Kowel,

co zmuszało Niemców do wydzielenia znacznych sił do obrony tego ważnego szlaku komunikacyjnego.

Współdziałanie z Armią Czerwoną układało się różnie. 27 WDP AK wsparła wkraczające na Wołyń oddziały wojsk sowieckich w walce z cofającymi się Niemcami. Nie poddała się jednak naciskom zmierzającym do podporządkowania dywizji Armii Czerwonej. W walkach frontowych wojska sowieckie korzystały z pomocy wojskowej dywizji i utrzymywały ją w zasadzie jako część Polskich Sił Zbrojnych, wykonujących rozkazy legalnych władz polskich w Warszawie i Londynie. Po zajęciu terenu dochodziło jednak do incydentów rozbrajania i aresztowania żołnierzy dywizji.

Realizacja planu „Burza” na Wołyniu i Polesiu miała także wymiar polityczny. Obecność dywizji na Wołyniu świadczyła o tym, że państwo polskie istnieje i walczy, posiada legalne władze państwowe, podtrzymujące ciągłość niepodległego bytu RP oraz siłę zbrojną, walczącą w kraju. Dywizja występowała jako gospodarz ojczystych terenów, bowiem w oparciu o prawo międzynarodowe broniła terytorialnego *status quo* Polski sprzed 1939 roku.

27 WDP AK była największą jednostką partyzancką, nieprzerwanie działającą przez 7 miesięcy jako zwarty i zorganizowany związek taktyczny. Dywizja zapoczątkowała akcję „Burza” i najdłużej realizowała jej założenia na Wołyniu i Lubelszczyźnie, trzykrotnie okrążana przez przeważające siły wojsk niemieckich (lasy mosurskie, lasy szackie, lasy parczewskie) nie dała się zniszczyć – przebiła się z okrążenia i podejmowała dalsze działania, aż do podstępnego rozbrojenia przez wojska sowieckie 25 lipca 1944 pod Skrobowem.

Na swoim 600-kilometrowym szlaku bojowym 27 WDP AK poniosła straty wynoszące: 626 zabitych, ok. 400 rannych, 195 wziętych do niewoli, 1320 zaginionych. Straty zadane nieprzyjacielowi szacuje się na ok. 750 zabitych, 1000 rannych i 348 wziętych do niewoli.

Niewymierny wysiłek żołnierzy 27 WDP AK, bezgraniczna wola walki o wolność Ojczyzny, nie zostały docenione w powojennym 50-leciu. Dlatego dziś staramy się przekazać młodemu pokoleniom nasze doświadczenia, aby ta skromna zaświatka historii walk o niepodległość Polski nie została zapomniana.

Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej
Okręg Wołyński – Środowisko w Krakowie

7 listopada 1999 r. na Ścianie Pamięci Żołnierzy AK Kresów Wschodnich w kościele pw. św. Jadwigi Królowej w Krakowie została odsłonięta tablica pamiątkowa, poświęcona harcerzom-żołnierzem licznie walczącym w szeregach Dywizji – w uznaniu ich zasług i poniesionych ofiar w walkach z wrogami.

Z Andrzejem Przewoźnikiem

**SEKRETARZEM GENERALNYM
RADY OCHRONY PAMIĘCI WALK
I MĘCZEŃSTWA**

rozmawia

Andrzej Chlipalski

– Panie Ministrze, ma Pan nieustanne wyjazdy i zajęcia, które zaliczają się wszak do sfery dyplomacji, i z tego tytułu angażują nie tylko siły, ale na pewno najbardziej nerwy, aby tę dyplomację uczynić skuteczną. Trzy wielkie sukcesy, jakie odniósł Pan w tym roku: otwarcie cmentarzy w Charkowie, Katyniu i Miednoje – czy rekompensują włożony wysiłek fizyczny i psychiczny?

– Oczywiście można to nazwać sukcesem, bo po sześćdziesięciu latach oczekiwania na upamiętnienie ofiar zbrodni katyńskiej mamy wreszcie cmentarze w miejscach, gdzie pozostały szczątki zamordowanych polskich oficerów i policjantów. Było to kilka lat bardzo ciężkiej i intensywnej pracy i rzeczywiście spotkało się to z niezwykle pozytywnym przyjęciem. Naturalnie nie u wszystkich, bo tak zawsze bywa. W jakimś sensie przynosi to satysfakcję. Jest to jednak ciągła praca, wymagająca sporego zaangażowania, bo trzeba rozstrzygać trudne problemy, dotyczące naszej przeszłości. Na pograniczu polsko-ukraińskim, polsko-białoruskim czy polsko-litewskim ciągle są problemy, wynikające z tego, że inaczej oceniamy pewne wydarzenia, które miały miejsce w stosunkach między naszymi narodami. Inaczej do tego podchodzimy, ale niezależnie od wszystkiego – zwłaszcza jeżeli chodzi o cmentarze wojenne, o miejsca pochówku ofiar wojny – trzeba je uporządkować i odpowiednio roboty wykonać.

Sądzę, iż jest to moralna satysfakcja, że takie rzeczy dzisiaj, po tylu latach, są zauważane i widzę w tym wyzwanie na przyszłość – dlatego, że są to najbardziej symboliczne miejsca, jakie udało się uporządkować. Ale jest jeszcze tysięcy innych

miejsc, o których nawet nie wiemy. To z jednej strony kwestia odnalezienia i uporządkowania tych miejsc, z drugiej zaś kwestia przywrócenia do świadomości narodowej Polaków miejsc, zwłaszcza na dawnych wschodnich Kresach Rzeczypospolitej, o których dzisiaj bardzo mało bądź w ogóle się nie wie. Takim przykładem niech będzie sprawa upamiętnienia Polaków, mieszkańców Wilna i Wileńszczyzny, zamordowanych w latach 1941–44 przez Niemców, a jednocześnie kolaborujących z nimi Litwinów w podwileńskich Ponarach.

Dzisiaj w Polsce, gdyby zadać pytanie, co to są Ponary, bardzo mało osób by odpowiedziało. A dla Wilnian Ponary były wówczas takim miejscem, jak dla Warszawy Palmiry. Są to więc miejsca, które powinniśmy przywracać naszej zbiorowej pamięci.

– Nasz tegoroczny numer specjalny – już po raz trzeci wydawany przy pomocy kierowanej przez Pana Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa – poświęcony jest tym razem Wołyniowi, tak bliskiemu naszej rodzinnej Małopolsce Wschodniej. Zostało tam wiele śladów walki o niepodległość Polski z czasów staropolskich, z XIX wieku, z I wojny światowej, a przede wszystkim z tragicznych lat rzezi ukraińskich z okresu II wojny i zaraz po niej.

– Rzeczywiście, na Wołyniu zostało bardzo wiele miejsc, które dzisiaj inwentaryzujemy. Gromadzimy dokumentację, która pozwoli nam na uporządkowanie tych miejsc, przeprowadzenie prac konserwacyjnych czy wręcz budowanie od nowa. Czy takich miejsc było wiele w XIX wieku? Oczywiście tak. Z historią II wojny światowej, a w szczególności z wydarzeniami z lat 1943–44 związane są liczne miejsca pochówków i miejsca ukrycia zwłok Polaków – ofiar rzezi ukraińskich. Jest to temat wciąż żywy, budzący wiele emocji. Dokumentując je, dowiadujemy się dopiero o wielu wydarzeniach, a uzyskując pewną wiedzę, dochodzimy do najważniejszego dla nas wykrycia miejsca, gdzie są ukryte szczątki. To podstawa działań takiej instytucji jak nasza. Jest to program, który przygotowaliśmy i który realizujemy. Oczywiście, może nie jest to temat tak spektakularny jak Katyń, Charków, Miednoje czy Cmentarz Orłąt. Niemniej



konsekwentnie miejsca spoczynku Polaków, zamordowanych na Wołyniu w latach 1943–44 porządkujemy. Myślę, że już wkrótce będzie co najmniej kilka miejsc uporządkowanych. Będziemy informować o tym opinię publiczną. Są to miejsca wręcz symboliczne, takie jak Przebraże – teren największej samoobrony polskiej na Wołyniu, Ostrówki, Wola Ostrowiecka. Można podobnych nazw wymienić wiele.

Sądzę, że Wołyń wymaga – myślę o wydarzeniach z lat 1943–44 – nie tylko oceny, ale przypomnienia, że była to zagłada mieszkających tam Polaków. Często się o tym zapomina lub nie chce się mówić ze względów koniunkturalnych. Myślę, że są środowiska, które uważają, iż dla tego, aby stosunki polsko-ukraińskie były dobre, nie powinniśmy mówić o sprawach trudnych. Ja uważam, że o sprawach trudnych trzeba mówić otwarcie, bo to była zbrodnia, tego inaczej nie da się nazwać. Okrągła, 60. rocznica tamtych wydarzeń, która się zbliża, jest dobrą okazją do przypomnienia i refleksji nad nimi. A naszym zadaniem jest odnalezienie i uporządkowanie grobów ludzi, którzy byli ofiarami tej zbrodni.

– Trudno poruszać znowu sprawy Cmentarza Orłąt, bo z prasy wiemy prawie wszystko – że na wysokim szczeblu po raz kolejny zapadły decyzje, dla nas w miarę korzystne, a administracja we Lwowie – jak zwykle – ich nie uznaje. Czy sądzi Pan, że ta swoista „zabawa w kotka i myszkę” będzie miała jakiś kres? Co się tam musi stać, by władza lokalna podporządkowała się państwowej (nie tylko lokalnej) przetrzta w kwestii naszego cmentarza)?

– Jeżeli chodzi o relacje między Lwowem a Kijowem, to jest to sprawa administracji ukraińskiej. Jeśli chodzi o odbudowę Cmentarza Orłąt, to stoimy twardo na stanowisku, iż porozumienie zawarte ze stroną ukraińską w 1998 roku jest pewnym kompromisem, dotyczącym ostatecznego wyglądu cmentarza po jego odbudowie. Musi ono być realizowane, nie może być sabotowane ani przekreślane. Rzeczywistość jest trochę inna, bo realizacja porozumienia przychodzi z ogromnym trudem. My nie zmieniliśmy naszego stanowiska i staramy się z naszych zobowiązań wywiązywać. Prace na cmentarzu od końca sierpnia nabrały przyśpieszenia, zostało wykonanych wiele elementów, które – z powodów wiadomych – nie mogły być do tego czasu wykonane. Mówię tutaj o wystroju architektonicznym katakumb, jak choćby montaż figur aniołów, gzymsów, attyk itd. Widać już ogromny postęp, czekają nas jednak trudne rozmowy na temat rozstrzygnięć końcowych. Dotyczą one tych elementów cmentarza, które są zapisane w porozumieniu, a nie mogą być na razie realizowane, bo Rada Miejska się sprzeciwia. Mam na myśli pomniki lotników amerykańskich i piechurów francuskich, figury lwów czy tablice w centralnej części cmentarza. Wynegocjowaliśmy napis, traktowany jako kompromisowy, ale dzisiaj strona ukraińska próbuje go jeszcze raz negocjować. W tej sprawie także nie będziemy zmieniać stanowiska i poczekamy, aż ta tablica zostanie zamontowana.

Jeśli chodzi o całą sprawę cmentarza – nie chcemy wybuchów, zgrzytów i konfliktów, chcemy natomiast by prace odbywały się w normalnej atmosferze. Co do daty otwarcia cmentarza – media za radnymi Lwowa ogłaszały, że ma się odbyć 1 października – ale my tej sprawy nie podnosi-

my na obecnym etapie. Uważamy, że uroczystość otwarcia i poświęcenia cmentarza – której wiele środowisk lwowskich i rodzin poległych oczekuje – może się odbyć wówczas, gdy wszystkie prace zostaną ukończone w oparciu o protokół z 1998 roku. Dopiero wtedy będziemy mogli powiedzieć, że ten cmentarz został przygotowany do otwarcia i poświęcenia – na nowo, bo dobrze wiemy, że wiele elementów wygląda dziś inaczej niż przed wojną, jest solidniejszy. A wreszcie ten cmentarz musi być normalnie eksploatowany, i to jest nasze zmartwienie, bo trzeba zadbać, by po ukończeniu wszystkich prac opieka nad cmentarzem została utrzymana na wysokim poziomie. Wierzymy, że tak będzie.

– Na starym Cmentarzu Łyczakowskim są kwatery powstańców z 1831 i 1863 r., a także indywidualne groby naszych wybitnych żołnierzy, np. Orдона. Co z nimi? Szczególnie kwatera listopadowa jest zagrożona – i częściowo już zniszczona przez agresję nowych pochówków, co dość kontrastuje z tytułem „cmentarza-muzeum”.

– A tak, rzeczywiście. To, co widzimy na Cmentarzu Łyczakowskim, szczególnie w cywilnej części, mocno kontrastuje z nazwą „muzeum”. Niemniej o tych grobach nie zapominamy. Do tej chwili przygotowaliśmy ekspertyzy, dotyczące zwłaszcza obu kwater powstańczych. Jestem po wstępnych rozmowach z władzami Lwowa, ale również zgłaszaliśmy tę sprawę władzom w Kijowie. Jeszcze w tym roku, najdalej w listopadzie, złożymy władzom Lwowa oficjalną prośbę o zgodę na przeprowadzenie prac konserwatorskich w tych kwaterach, a jednocześnie zabezpieczenie ich przed możliwością zniszczenia przez lokowanie nowych grobów. To są właśnie prace, które chcielibyśmy wykonać w przyszłym roku. Oczywiście myślimy również o innych pomnikach. Przecież na Łyczakowie oprócz Orдона są także np. mniej znane, pojedyncze groby Obrońców Lwowa, zapomniane, zaniedbane. Są drewniane krzyże, które można znaleźć, chodząc po cmentarzu, o których nikt dzisiaj nie pamięta. Od kilku lat namawiam wiele instytucji, by doprowadzić do jakiegoś realnego rozstrzygnięcia wspólnie ze stroną ukraińską, bo bez niej podobne działa-

nia będą niemożliwe. Może wyjściem było by powołanie komitetu ratowania Cmentarza Łyczakowskiego.

– Cieszę się, że Pan o tym mówi, bo my w Krakowie już przed paru laty zainicjowaliśmy i przeprowadzamy coroczne kwesty na WW Świętych i w Dzień Zaduszny, a za uzyskane kwoty wspomagamy prace porządkowe na starym Cmentarzu Łyczakowskim. Oczywiście nie mamy takich możliwości, by finansować roboty konserwatorskie, jak np. na Powązkach lub – w mniejszym zakresie – na Rakowicach. Nam chodzi głównie o doraźne zabezpieczanie grobow-



Tablica z nazwiskami poległych żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK na cmentarzu w Zasmykach na Wołyniu

ców i nagrobków przed dalszą destrukcją – naturalną lub przez kogoś zamierzoną. Zamykamy otwarte grobowce, ratujemy rozsypane wokół fragmenty kamieniarskie, rzeźbiarskie, krzyże. Wycinamy samosiejki, wyrastające z grobowców i rozsadzające je. Wyniki corocznych prac publikujemy w naszym kwartalniku. Bolejemy jednak nad niszczeniem dzieł sztuki XIX–XX wieku, które trzeba ratować. Jeżeli przez najbliższe kilka lat nic się w tej materii nie stanie, to wiele z tych obiektów przestanie istnieć. My odpowiadamy za groby i cmentarze wojenne, a także groby wybitnych osób, jednak związanych w jakiś sposób z dniami walki. Nie możemy wszystkiego zrobić. Tu są potrzebne tak ogromne środki na przeprowadzenie niezbędnych prac, że nie jesteśmy w stanie odrobić w krótkim czasie zaległości przed prawie lat sześćdziesiąciu.

– Dziękuję Panu Ministrowi za tę rozmowę. To dla nas wielkie wyróżnienie, że przy wszystkich obciążeniach, a także licznych wywiadach, jakich Pan udziela – znalazł Pan czas, już po raz drugi, dla naszego kwartalnika.

Uważam, że pismo, które Państwo redagują, jest na bardzo wysokim poziomie. Z przyjemnością bierze się je do ręki. Ja niemal każdy numer dość uważnie przeglądam i czytam, i myślę, że dla waszego pisma zawsze znajdę czas, żeby poinformować o bieżących sprawach, którymi się zajmujemy, przede wszystkim o tych, które wiążą się z profilem pisma, tzn. o sprawach lwowskich i w ogóle wschodnich.

– Jeszcze raz dziękuję za rozmowę.

*Do druku przygotowała Anna Kostecka.
Tekst autoryzowany*

Naszym zdaniem

SŁUGI BOŻE

Przed kilkoma laty, 18 maja 1994 r. na Monte Cassino – w 50. rocznicę Bitwy – Ojciec Święty Jan Paweł II wypowiedział m.in. następujące słowa:

Do wspomnienia o zwycięstwie pod Monte Cassino trzeba więc dołączyć dzisiaj prawdę o wszystkich Polakach i Polkach, którzy [...] na własnej ziemi oddali życie za tę samą sprawę, za którą oddawali życie Polacy w roku 1939, potem podczas okupacji [...]. Trzeba ich przynajmniej przypomnieć przed Bogiem i historią, ażeby nie zamazywać prawdy o naszej przeszłości w tym decydującym momencie dziejów. Kościół wspomina swoich męczenników w martyrologiach. Nie można dopuścić do tego, żeby w Polsce współczesnej nie zostało odtworzone martyrologium narodu polskiego. [...]

Umocnieni tym słowami zwracamy uczucia i myśli ku naszej ziemi rodzinnej – Wołyniowi i Małopolsce Wschodniej – które najboleśniej zostały dotknięte w czasie II wojny światowej i najwyższą cenę zapłaciły za swoją polskość i wierność Ojczyźnie. Wśród ofiar prześladowań przez okupantów oraz bezprzykładowych rzezi ze strony współbraci, było niechybnie wielu ludzi świeckich i kapłanów, którzy zasłużyli na najwyższą nagrodę – uznanie jako godnych chwały ołtarzy.

Żyjemy w epoce, gdy dość wielu sprawiedliwych synów i córek Kościoła, także polskiego, doznaje tego szczególnego wyróżnienia. Nie mamy wątpliwości, że wśród naszych braci i siostr z tamtej Ziemi i tamtego czasu są także tacy, którym się to należy. Powstała już dość pokaźna dokumentacja i literatura przedmiotu, w tym wiele relacji spisanych przez księży. Czas przerwać milczenie na ten temat. Mamy więc nadzieję, że i Kościół Lwowski podejmie starania o znalezienie i wprowadzenie do grona Sług Bożych godne Dzieci umęczonej Ziemi.

Danuta Trylska-Siekańska

NAJSŁYNNIEJSZE LICEUM POLSKIE

Liceum Krzemienieckie zaistniało w historii Polski dwukrotnie. Najpierw, z początkiem XIX wieku, stworzone przez Tadeusza Czackiego, ks. Hugona Kołłątaja i księcia Adama Czartoryskiego, a ponownie w naszym wieku, powołane po odzyskaniu przez Polskę niepodległości.

GIMNAZJUM – LICEUM WOŁYŃSKIE
(1805–1831)

W pierwszych latach XIX w. zrodziła się na Wołyniu idea stworzenia gimnazjum z polskim językiem nauczania. Inicjatorami byli trzej wybitni mężowie tamtej epoki: Tadeusz Czacki – działacz gospodarczy i oświatowy okresu stanisławowskiego, po rozbiorach zaś wizytator szkół w guberniach wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej; książę Hugo Kołłątaj – pisarz, pedagog, polityk, filozof, reformator szkół, jeden z najwybitniejszych umysłów polskich przełomu XVIII/XIX w.; książe Adam Czartoryski – kurator wileńskiego okręgu nauk. Ci wielcy reformatorzy rozbudowali sieć szkół z polskim językiem nauczania na terenie całego zaboru rosyjskiego.

Tadeusz Czacki wykupił i wykorzystał (po dostosowaniu) istniejące w Krzemieńcu budynki pojezuickie wraz z kościołem, które zostały w XVIII w. ufundowane przez braci Janusza i Michała Wiśniowieckich. Powołano tam do życia Gimnazjum Wołyńskie – szkołę pośrednią między średnią a wyższą, ponieważ władze carskie nie godziły się na dwie uczelnie polskie – a istniał już polski Uniwersytet Wileński. Uroczyste otwarcie szkoły w Krzemieńcu odbyło się 1 października 1805 r. – mija więc od tamtego czasu 195 lat.

Program nauczania, ułożony przez Kołłątaja, obejmował właściwie dwie szkoły: niższą – czteroletnią i wyższą – sześcioletnią. Pierwsza była poświęcona ćwiczeniu pamięci – uczyło języków, arytmetyki, moralności. Około 13. roku życia uczeń przechodził na wyższy stopień – wykładano tam matematykę, logikę, historię, geografę, fizykę i chemię, przyrodę, prawo, uczyło wymowy, przerabiano literaturę polską, rosyjską, grecką, łacińską i francuską. Po 10 latach

nauki można było uczyć się na kursach dodatkowych, obejmujących matematykę wyższą, mechanikę, medycynę lub położnictwo, filologię słowiańską, ogrodnictwo, rolnictwo, weterynarię. Czacki miał jeszcze dalsze plany: chciał zorganizować szkołę dla gubernantek oraz dla nauczycieli szkół elementarnych, a także szpital dla ludzi i zwierząt. Z planów rozszerzenia zakresu gimnazjum udało mu się zrealizować jeszcze szkołę geometrów i dwuletni kurs mechaników praktycznych. Niestety przedwczesna śmierć w 1813 r. przerwała działalność tego niezwykłego człowieka i obywatela.

Według wskazań Tadeusza Czackiego, stworzona przez niego szkoła miała być *szkołą w służbie życia*. Warto też zacytować jego zdanie dotyczące języka ojczystego: *kto swoją mowę lekceważy, ten jest cudzoziemcem we własnej ziemi, ten nie ma ducha przedków...*

W roku 1819, dzięki staraniom księcia Adama Czartoryskiego, Gimnazjum Wołyńskie podniesiono do godności Liceum. Działo do upadku Powstania Listopadowego w 1831 r.

W okresie świetności Gimnazjum – później Liceum – Wołyńskiego do Krzemieńca ściągnęli wybitni pedagodzy i naukowcy różnych specjalności, zapewniając wysoki poziom nauczania w tej szkole. Nie sposób wymienić wszystkich, ale warto wspomnieć o Wilibaldzie Besserze (Niemcu z pochodzenia) – botaniku, floryście, lekarzu, twórcy ogrodu botanicznego w Krzemieńcu, a także o Euzebiuszu Słowackim, nauczycielu wymowy i literatury polskiej, ojcu naszego późniejszego wieszczka.

Do ogromnych osiągnięć Liceum – i osobście Czackiego – należy stworzenie biblioteki, liczącej ponad 32 tysiące książek oraz 20 tys. numizmatów. W ogrodzie botanicznym zasadzono około 9 tysięcy gatunków roślin.

Po zamknięciu Liceum krzemienieckiego na podstawie *ukazu* cara Mikołaja I zbiory biblioteczne i ogród botaniczny przeniesiono do Kijowa. Tam stały się podwaliną powstającego Uniwersytetu św. Włodzimierza – pierwszego uniwersytetu w Rosji! Również część kadry profesorskiej przeniosła się z Krzemieńca do Kijowa, ale – aby nie mówić po rosyjsku – wykładali po łacinie. Wspomniany W. Besser po przejściu na emeryturę wrócił do Krzemieńca i tu zmarł w 1842 r., pochowany na cmentarzu bazylikańskim.

Dwudziestosześcioletnia działalność Gimnazjum i Liceum Wołyńskiego spowodowała znaczne podniesienie oświaty na wschodnich terenach Rzeczypospolitej, nowoczesniejsze prowadzenie gospodarstw, podniesienie moralności i poczucia patriotyzmu. Wychowanek Liceum, którzy po powstaniu listopadowym znaleźli się na emigracji, głównie we Francji – kontynuowali spotkania na tzw. *Biesiadach Krzemienieckich* w Paryżu.

LICEUM KRZEMIENIECKIE W OKRESIE MIĘDZYWOJENNYM (1920–1939)

Odzyskanie przez Polskę niepodległości po I wojnie światowej przyniosło Krzemieńcowi znaczne ożywienie. 27 maja 1920 r.

Naczelnik Państwa Józef Piłsudski dwoma rozkazami reaktywował Liceum – od tego czasu noszącego nazwę Krzemienieckiego. W rozkazie 162 napisał: *Słynną tę uczelnię powołuję niniejszym do życia, by snuła dalej wielką myśl swych założycieli i pełniła w nowych warunkach, z tą samą jednak gorliwością co przed laty, tę samą służbę na pożytek Ojczyzny, nauki i cnoty.* W rozkazie 163 znalazło się przekazanie na własność Liceum całego majątku, jaki posiadało w chwili zamknięcia go przez carat.

Pierwsze miesiące i lata były bardzo trudne. Do Krzemieńca zjechało mnóstwo młodzieży bezdomnej – głodnej i obdartej, a często też zdemoralizowanej. W dużej mierze byli to uciekinierzy z terenów objętych rewolucją sowiecką. Trzeba było szybko zorganizować internaty i zacząć uczyć. Równocześnie trzeba było remontować zdewastowane budynki i odbierać od dotychczasowych użytkowników przywrócone majątki. A także bronić terenów licealnych przed grasującymi bandami dywersyjno-rabunkowymi, przechodzącymi przez pobliską granicę.

Po pierwszych ciężkich latach Liceum Krzemienieckie zostało zorganizowane jako zespół kilkunastu szkół, internatów, kursów dokształcających nauczycieli, placówek na-



Liceum Krzemienieckie

ukowych, uniwersytetów ludowych. Na czele stał kurator podległy bezpośrednio ministerstwu. Liceum Krzemienieckie miało charakter fundacji, gdyż opierało się na dochodach z ogromnych majątków rolnych i leśnych (ponad 50 tys. ha). Pozwalało to na samodzielność gospodarczą i rozwijanie wszechstronnej działalności. W ostatnich latach przed II wojną Liceum nie tylko nie korzystało z dotacji z budżetu państwa, ale nadwyżkę swoich dochodów odprowadzało do skarbu państwa.

W ciągu kilkunastu lat wykonano ogromną pracę organizacyjną, wychowawczą, nawet inwestycyjną. Do tego trzeba było zaangażować ludzi o wysokich kwalifikacjach zawodowych, a równocześnie o dużym wyrobieniu społecznym. Dlatego ściągano do pracy wybitne jednostki z całej Polski, często instruktorów harcerskich.

Ostateczny kształt organizacyjny Liceum Krzemienieckiego nadano dekretem Prezydenta RP w 1928 roku. W ostatnich latach przed wojną obejmowało ono następujące jednostki:

- Gimnazjum (od 1922 typu matematyczno-przyrodniczego, zreformowane ustawą z 1932 r.)
- Liceum dwóch typów: matematyczno-przyrodnicze i humanistyczne, zgodnie z ustawą z 1932 r.
- Szkoła ćwiczeń (powszechna 7-klasowa)
- Seminarium Nauczycielskie – potem Pedagogium (dwuletnie studium pomaturalne)
- Średnia Szkoła Rolniczo-Leśna w Białokrynicy
- Gimnazjum Spółdzielcze (od 1937)
- Niższa Szkoła Murarska w Smydze
- Niższa Szkoła Rzemieśniczo-Przemysłowa w Wiśniowcu
- Ogniska Wakacyjne, doskonalące nauczycieli: Muzyczne, Rysunkowe, Pracy Społecznej na Wsi
- Uniwersytety Ludowe: działalność oświatowa prowadzona w ośrodkach wiejskich, przede wszystkim dla ludności ukraińskiej w Michałowie i Róźnie
- Biblioteka Naukowa, dostępna dla wszystkich mieszkańców Wołynia
- Kościół Licealny – autonomiczna jednostka działająca przy Liceum i korzystająca z jego pełnej opieki.

Do wymienionych jednostek dochodziła baza szkoleniowo-wychowawcza i kultural-

no-oświatowa, zaplecze socjalne dla młodzieży i pracowników oraz majątek (nieruchomości) fundacji.

Pierwszym kuratorem (wizytatorem) odrodzonego Liceum był do 1927 r. dr Marek Piekarski, były dyrektor ewakuowanego z Humania gimnazjum polskiego. Świetny organizator, stworzył zręby potężnej instytucji jaką stało się Liceum, które owocowały do końca okresu międzywojennego. Po nim obowiązki kuratora objął Juliusz Poniatowski – do czasu powołania go na stanowisko ministra rolnictwa i reform rolnych w 1934 r. Był to człowiek o niezwyklej osobowości, wszechstronnej wiedzy, cieszący się ogromnym autorytetem. W kierowaniu Liceum nawiązał do koncepcji Czackiego i Kołłątaja.

Kolejnymi kuratorami byli Eustachy Nowicki (1934–35), Karol Kochler (1935–36) i Stefan Czarnocki (1936–39). Każdy z nich wybitnie przyczynił się do podniesienia znaczenia Liceum Krzemienieckiego w zakresie wychowania uczniów na ideowych, śmiałych i samodzielnych obywateli.

Dbając o wysoki poziom nauczania w gimnazjum, większość przedmiotów eksperymentalnie nauczano systemem *daltonskim*, tzn. pracownianym, co wyrabiało więk-



Szkoła Rolniczo-Leśna w Białokrynicy k. Krzemieńca (niegdyś pałac)

szą samodzielność u uczniów. W procesie nauczania duży nacisk kładziono na zajęcia pozalekcyjne: sport w zimie i w lecie, harcerstwo, zajęcia w pracowniach modelarskiej, fotograficznej itp. Największymi imprezami sportowymi były od 1933 r. coroczne zawody między drużynami z Gimnazjum im. Czackiego w Krzemieńcu i Gimnazjum im. Sułkowskich w Rydzynie.

Dzięki Liceum miasto tętniło życiem kulturalnym. W głównym budynku licealnym mieściła się sala teatralna na 400 miejsc, sala koncertowa i sala wystawowa. Odbywały się tam występy objazdowego Teatru Wołyńskiego, „Reduty” Juliusza Osterwy, koncerty opery ze Lwowa lub wystawy malarstwa i fotografii.

Dla uczniów corocznie urządzano wycieczki krajoznawcze, głównie po Wołyniu, ale również do Krakowa i w Tatry. Delegacje uczniowskie uczestniczyły w Krakowie w uroczystościach pogrzebowych Juliusza Słowackiego w czerwcu 1927 r. oraz w sypaniu kopca Józefa Piłsudskiego w 1935 r.

Patriotyczne wychowanie młodzieży szkolnej na lekcjach wspomagane było na zbiorcach harcerskich. A harcerstwo w Krzemieńcu nie należało do tuzinkowych. Działo kilkanaście drużyn zuchowych i harcerskich, a wśród pedagogów znaleźli się tacy instruktorzy jak Harcmistrzyni Rzeczypospolitej Jadwiga Falkowska – późniejsza ogólnopolska naczelniczka harcerek, harcmistrz Zbigniew Trylski – późniejszy naczelnik harcerzy, oraz wielu innych. Zarówno wychowawcy, jak i wychowankowie sprawdzili się później na wielu frontach II wojny światowej i na różnych stanowiskach. Tylko części z nich udało się przeżyć wojnę. Rozproszeni po całym świecie organizowali i dalej organizują spotkania krzemieńczan, czy to na emigracji, czy to w kraju.

DANUTA TRYLSKA-SIEKAŃSKA, ur. 1936 w Białokrynicy k. Krzemieńca w rodzinie nauczycielskiej związanej z Liceum Krzemienieckim. W 1940 deportowana wraz z całą rodziną do Kazachstanu. Po repatriacji od 1946 w Krakowie. Po studiach na Wydziale Budownictwa Wodnego Politechniki Krakowskiej całe życie zawodowe związała z Państwowym Instytutem Hydrologiczno-Meteorologicznym, obecnie na emeryturze. Instruktorka harcerska. Czynna w kilku organizacjach społecznych i kresowych.

Archiwum

WIELCY Z WOŁYNIA

Z Wołyniem były związane wielkie postaci historii Polski i Litwy:

LUBART († 1384), syn Gedymina, książę łucki. Na Wołyniu władał w latach 1350–66. Wybudował zamek w Łucku.

WITOLD (1350–1430), wielki książę litewski. Był księciem łuckim w latach 1384–89.

RADZIWIŁ STANISŁAW ALBRECHT (1595–1656), kanclerz wielki litewski. Wybudował zamek i kolegiatę w Ołyce.

CZACKI TADEUSZ (1765–1813), założyciel Liceum Krzemienieckiego, działacz gospodarczy i oświatowy, historyk.

FELIŃSKI ALOJZY (1771–1820), dyrektor Liceum Krzemienieckiego, poeta, autor hymnu *Boże coś Polskę*.

LELEWEL JOACHIM (1786–1861) i **MICKIEWICZ ADAM** (1798–1855), byli wykładowcami w Liceum Krzemienieckim.

SŁOWACKI JULIUSZ (1809–49), urodził się w Krzemieńcu.

KRASZEWSKI JÓZEF IGNACY (1812–87), mieszkał i tworzył na Wołyniu.

FELIŃSKI ZYGMUNT SZCZĘŚNY (1822–95), arcybiskup-metropolita warszawski, wygnany z Warszawy po powstaniu styczniowym. Urodził się w Wójcynie k. Łucka.

CZACKI WŁODZIMIERZ (1834–88), kardynał, nuncjusz w Paryżu. Urodził się w Porycku na Wołyniu.

MALCZEWSKI JACEK (1854–1929), malarz, profesor ASP w Krakowie. Był wykładowcą w Liceum Krzemienieckim.

ZAPOLSKA GABRIELA (1857–1921), pisarka. Urodzona (Korwin-Piotrowska) w Kiwercach k. Łucka.

KOSSAK-SZCZUCKA ZOFIA (1890–1968), napisała *Pożogę*, wspomnienia z Wołynia z lat 1917–19.

KASZUBA o. SERAFIN (1910–77), kapucyn. W czasie II wojny misjonarz Wołynia i Kazachstanu. Kandydat na ołtarze.

WIERSZ

Krzysztof Kołtun SUPLIKACJE POLSKIE Z WOŁYNIA

I

Jutrznią dnia, o Panie
– zapal gwiazdy umiłowane,
nad Ziemią
spalonego Wołynia.

Niech zaświecą nad kośćmi
sióstr, braci moich –
porąbanych, pobitych, spalonych
– pod progami świątyni.

Księżyc oświeci
resztki podwalin Twojego Jeruzalem,
a pył niebiański z gwiazd
rozniesi próchno.

Jutrzienka znad Syru i Turii
– powstanie na głos Dawida.
Psalmy zaśpiewają wsie,
wypalone do ostatniego komina.

Zdziczałe grusze i jabłonie,
zawalone z krwią studnie –
podniosą się jak rosa
na Twoich azaliach.

Słodki owoc niechcianego drzewa
– karmi pobratymców moich.
Ziemia zacznie rodzić,
chleb zapachnie w spalonych sadybach.
Bociany wrócą do kalenic,
do spalonych gniazd
ogniem Bandery.
Niech się rodzą co roku, i okraszają Wołyń.

Pałace i dwory
– panów, dziedziców polskich
w fundamenty powrócą
na kołchozowe chlewy rozebrane.
Niech zabieleją ściany i powały
– dziedzictwo i mur chrześcijaństwa.
Tam miejsce – na krzyż Twój Panie,
i obrazy świętych Oblubieńców.
Bramy klasztorne i wirydarze
z obrazami Częstochowskiej,
Berdyczowskiej
– stańcie łukami, kolumnami stare,
świadczyć o potędze Pana.

II

Kościoty pełne krwi ciepłej
w Porycku, Kisielinie, Ptyczy
– rzymskie kolosea, światłości pełne,
dzbany łez dzieci, niewinnie mordowanych.

I Ty, Góro Kazimierki, Przewał,
z cudownym obliczem spalona.
Kapucyński orszaku, procesjo pielgrzymów
z klasztoru w słynnym Podkamieniu.

Męczeńskie kości księży, poetów,
niewinnych dziewic
– nanizane, jak perły, kresowe kryształy.
Pozbiera was Archanioł
do cebra wieczności.
Orszaki dziewcząt w skrwawionych
sukienkach
w dzień Pierwszej Komunii świętej
– idźcie wokół serca
za swoim Oblubieńcem,
przy monstrancji słońca
do najstarszej świątyni Wołynia
w Jagiełty Lubomlu.
Tutaj Kościuszko kłękał
i świętych nie mało.

Dzwonów wciąż nie ma!
Oddajcie dzwony –
głoszące Ziemi pokój,
Chrystusowi wieczność!
Gdzie złoty sznur Jagiełty
i sto relikwiarzy
– szabla Wiśniowieckiego z Beresteczka?
Gołąb biały,
ponad zwalone wieże
wołyńskich świątyni
– gałązkę palmy niosąc
pod krzyże położy.

Ziemia królewska!
Jerozolimo duszy,
nie spoczna prochy
w barwinkowym zielu
– zanim Duch Ciebie ożywi
i nie rozweseli.
Cudowna z Kazimierki,
Piastunko sławy!

III

Prześliczna, nad wodą w Zaturcach,
wiekosławna z Hołob.

Wywieziona przed bandą z Mielnicy,
Swojczowa

– przemożna w koronach.
Pani Święta z Łucka,
zwana po dawniejszemu
– Panią Latyczowską.
Gdziekolwiek Twe Oblicze,
jak Ciebie nazywają,
bądź jak zdrowie wrócone
– z wołyńskiej Częstochowy.
Do bram Twoich
rozbitej kaplicy,
w Dolinę Jozafata
– idą Wołynianie!

Pozwólcie Archaniolom,
a ogłoszą światu
– Męczenników orszaki, niezliczone idą!
Rozkwiecą się kości braci,
ożywi smutna Ziemia
od Rymacz do Dederkał
w Diecezji Łuckiej.
Święta Tereniu!
przyszłaś się nacierpieć,
jakby za mało własnego konania
doznało serce.
Deszcz róż spadł na Ziemię,
ożywił pagórki,
pieśniami drogi
– niech serce nie płacze.
Przebacz Panie,
i nie zapomnij

– staropolskich ołtarzy,
krzyżowej Ziemi.

Pozdrawiam Chryste Twój krzyż
z Brahiłowa, Boromla,
Łysiny, Dederkał.
Twoja postać idąca
– po spalonej Ziemi
mostami i bramami,
na wschód wystawionej,
czeka sądu historii,
czasu zmartwychwstania
– Wołyń...

Utwór pochodzi z tomiku pt. Procesja pod koniec wieku (Kraków 2000).

KRZYSZTOF KOŁTUN, ur. 1958 r. Autor wielu tomów wierszy *Powrót* (1984, Kraków), *Ojczyste ziele* (1990, Kraków), *Dzwoneczek* (1992, Chełm), *Pańska Dolina* (1993, Lublin), *Kresowy wiśniowiersz* (Lublin, 1995), *Misterium z Wołynia* (Kraków, 1997), *Złoty szerszeń* (Kraków, 1998), *Wileńska iza czysta* (Kraków, 1999), *Szelest róży* (Ostróg, 1999), *Procesja pod koniec wieku* (Kraków, 2000). Laureat Ogólnopolskiej Nagrody im. Jędrzeja Cierniaka oraz kilkunastu ogólnopolskich konkursów poetyckich. Z pasji i zamiłowania etnograf, obrońca tradycji, współautor i współinicjator wielu projektów z dziedziny kultury. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.



Zdjęcie autorstwa Grzegorza Zabłodzkiego zapożyczono z tomiku wierszy Krzysztofa Kołtuna pt. „Misterium z Wołynia” (Kraków 1997)

PROZA

Jezrzy Masior
KRZEMIENIEC – MIASTO OBŁOK

Nie powinno się pisać o czymś, czego się nie lubi. Nie powinno się pisać o miejscach, w których nie potrafiliśmy się zadomowić, bo nie były to miejsca przychylne, nakłaniające do powrotów. Ale miejscem, które polubiłem i za którym zawsze tęsknię, jest Krzemieniec.

Ma on jeszcze jeden walor: tu bardzo sprawdza się twierdzenie, że krajobraz tworzy historię. W czasie moich *kresowych*, w ciągu ostatniego dziesięciolecia, wojaży, odwiedzam to miasto szczególnie chętnie, dlatego z niejaką atencją przystępuję do pisania tego tekstu. Funkcjonuje pamięć, a w niej zachowuję tamte wzgórza i tę wśród nich, niby to miejską dolinę, jako miasto-obłok. Kto choć odrobinę nauczył się patrzeć na krajobraz malarskim lub nieco metafizycznym okiem, ten dostrzeże wszystko, co się tu wyprawia. Zwłaszcza wiosną i jesienią. Mnogość tu drzew wiśniowych w skupiskach sadów przydomowych, jak i swobodnie rosnących w pagórkowatej przestrzeni.

Wiosną spływają te zaróżowione biele po stromiznach krzemienieckich wzgórz, z góry Bony, z Czercza, i otulają leżące w wijącym się szerokim wąwozie miasto. Biele napierają na wyżej położone pióropusze sosnowych lasków, nie dając jednak rady płowym stromiznom zamczyska. Ale wszystko co poniżej, płynie wiosennym obłokiem bieli, wyznaczając tu i ówdzie szczeliny uliczek. Tak jak przez pozostałe pory roku, i teraz dolina krzemieniecka jest wyciszona. Taka pozostała ze swojej przeszłości. Nierychło jej do pulsowania dniem dzisiejszym. Obłok bieli pokrywa miasto, które w bliźnach jest powojennych, niezaleczonych. Nawet Liceum, ta perła wołyńskiej architektury nie lśni blaskiem, jaki jej przystoi. Tu i ówdzie przezierają ni to place, ni to nieokreślone, niezabudowane przestrzenie: miejsca po wypalonych skupiskach drewnianej zabudowy, najczęściej żydowskiej. Niepowetowana to strata dla Krze-

mieńca, owa miejska architektura drewniana. Zapadają się w niepamięć gontowe, łamane dachy, balkoniki, zewnętrzne drewniane schody na filigranowe pod kalenicą balkoniki. To wszystko jest już tylko na fotografiach, rysunkach i w pamięci najstarszych krzemieńczan. Domy murowane, które uniknęły wojennej zagłady, murszeją odpadającymi tynkami i zieleniejącym malachitem wieloletnich porostów. Najbardziej drastycznym przykładem są tak zwane domy bliźniacze, przykład dawnej architektury miejskiej – stoją opuszczone, sieroce, z jakże postrzępionymi tynkami fasad i zrujnowanych podejść.

Jesienią obłok biały zamienia się w złocisto-purpurowo-rdzawy. Mnogość przydomowych sadów, pomalowanych porą roku i odchodzeniem w czas, wyczarowują na stromiznach i w dolinie obraz niezapomniany. W te jesienne barwy ubrana przestrzeń wybiega w wołyńskie horyzonty. Gdzieś tam u jej północnego kresu, w srebrzystej mgielce zwiastującej czas babiego lata, toczy się lkw.

Cały Krzemieniec tchnie historią. Jest jednak w nim kilka takich miejsc, do których Polacy docierają obowiązkowo: kościół parafialny pod wezwaniem św. Stanisława z przepięknym, epitafejnym pomnikiem Juliusza Słowackiego, pod którym moi podróżni – uczniowie z IV LO z Nowego Sącza, po złożeniu wieńca pilnie się fotografują. Nie wiem, czy z zapalem nie równym wykonywaniu zdjęć przy fontannie di Trevi w Rzymie...

Jest w Krzemieńcu siedem czy osiem cmentarzy, istne kuriozum jak na takie małe miasteczko. Ale dla nas jeden jest najważniejszy, bo jest na nim symboliczna mogiła wymordowanej przez Niemców inteligencji polskiej. Lustrzane odbicie Lwowa: i czas mordu ten sam, i kategoria ludzi. Mała, bardzo nieforemna i niepozorna mogiłka, a w niej także symboliczne prochy mojego ukochanego wuja Gutka, urzędnika państwowego i działacza legionowego. Z młodzieżą docieramy do mogiły Salomei Sło-

wackiej. Jest nieuszkodzony nagrobek i jeszcze czytelny napis. Znów wieniec, znicze i wysłuchane w przedziwnym, jak na tych młodych licealistów, skupieniu *Listy do Matki* Juliusza, które nad jej mogiłą brzmią szczególnie przejmująco. To wspaniała lekcja ojczystej literatury, którą prowadzi mgr Bogusław Kołcz dla swojej młodzieży. A mnie nasuwa się pytanie: ile jest w Polsce szkół, zwłaszcza licealnych, które dotarły do tej mogiły, nad lkwę, do ziemi Wieszcza? Wokół mogiły Salomei Becu dużo trójramiennych krzyży. Cmentarz stracił katolicki i polski charakter już dawno. Cóż, czas upływa i to w innej rzeczywistości. Wychoząc z cmentarza spotykamy się z prawosławnym pogrzebem. Nieboszcza jest wnoszona na cmentarz w otwartej trumnie. Przodem kroczy pop w bardzo wyświechtanej sutannie. Trumnę zdjęto z odkrytej ciężarówce, na której – na ławeczkach – przyjechali także żałobnicy. Niecodzienny dla Polaków widok.

Schodzimy uliczką Słowackiego w dół. Uliczka stromo opada ku śródmieściu, obrośnięta gęsto krzewami, spoza których tu i ówdzie wyzierają parterowe domostwa i zaniedbane podwórza. Po kilkuset metrach przystajemy przed dworkiem Słowackich. Tu mieszkali rodzice Wieszcza i tu On się urodził, stąd biegł do szkoły. Dworek odrestaurowany, mieści się w nim dopiero co

otwarte muzeum. Jeszcze skromne, ale zawsze to wiarygodny ślad polskości. Ukraińskie próby przywłaszczenia Poety zdarzają się. Jak wszystkiego tutaj.

Trwają też mury Kolegium Krzemienieckiego. Czas obszedł się z nimi względnie łaskawie. Kaplica pośrodku kompleksu – po remoncie, a w budynkach – liceum pedagogiczne. Są ślady dawnego ogrodu botanicznego. Zachowały się okazy rozrośniętych i nieco zdziczałych drzew. Dbałość o ten zabytek przyrody i kultury zarazem – znikomy. Komu teraz w państwie ukraińskim potrzebny taki ogród? To balast dla tutejszych władz oświatowych. Zresztą tyle wspaniałych parków z niepowtarzalną roślinnością wycięto. Mieszkańcy miasta i całej tej kresowej krainy, którzy od lat walczą o byt, o przetrwanie, sprawom kultury przyrody nie poświęcą ani chwili. Jest jakieś fatum tego miejsca: Wołyń kształci tu teraz nauczycieli, a przecież od założenia Kolegium w 1805 r. przez Hugona Kołłątaja i Tadeusza Czackiego było ono ogniskiem kultury, promieniującym na całe ziemie południowo-wschodnie Rzeczypospolitej. Pierwszym dyrektorem Liceum był poeta Alojzy Feliński (1771–1820), a wśród wybitnych nauczycieli odnotujemy powieściopisarza Józefa Korzeniowskiego (1797–1863), historyka Joachima Lelewela, Euzebiusza Słowackiego, ojca Juliusza. Wśród wychowan-



Autor przed ruinami zamku na Górze Bony

ków Liceum najprzedniejsze jest nazwisko Antoniego Malczewskiego (1793–1826), twórcy poetyckiej powieści *Maria*, uznanej za jeden z najpiękniejszych utworów romantyzmu polskiego. Liceum w latach swego istnienia było równe uniwersytetom i dlatego rząd rosyjski po powstaniu listopadowym zlikwidował uczelnię i przeniósł ją do Kijowa, tworząc tam uniwersytet. Stąd zwiedzający tamtejszą uczelnię turyści polscy mogą się natknąć np. na okazy mineralogiczne, ofiarowane Liceum Krzemienieckiemu jeszcze przez ks. Józefa Poniatowskiego, na książki i monety ze zbiorów króla Stanisława Augusta. Warto to zapamiętać. Jakże przemożną siłą oddziaływania miała wówczas kresowa kultura polska, stając się kolebką uniwersytetu nad Dnieprem, w mieście bądź co bądź jednym z największych i najważniejszych ówczesnej Rosji.

Mury uczelni krzemienieckiej opuściło też wielu wspaniałych pedagogów, obecnych w polskiej kulturze okresu niewoli. Reaktywowana w czasie II Rzeczypospolitej, uczelnia rozwijała się pięknie i wielokierunkowo. Miała swoje specjalistyczne filie nie tylko w Krzemieńcu. Na miejscu funkcjonowało gimnazjum, seminarium pedagogiczne, przedszkole, muzeum (po którym ani śladu). Na Wołyniu powstawały pod patronatem Liceum uniwersytety ludowe. W Białokrynicy założono szkołę rolniczo-leśną, a w zamku w Zbarażu prowadzono nowoczesną serownię i hodowlę karakulów. Wystarczy jak na jedną uczelnię, prawda?

Krzemieniec budował szlachcic i Żyd. Stąd jego niepowtarzalna, kresowa uroda. Mieszalnina obyczajów, kultury, a nawet historii stapiała się w krzemienieckiej dolinie w wołyński kruszec. Nie bez kozery pisał Ksawery Pruszyński: *Oto jest przede mną Krzemieniec – klejnot, Krzemieniec – najpiękniejsze z miast Polski, i jak ogromnie polskie. W głąb jaru zaszyły się dworki szlacheckie, brzuchate i białe, z kolumnami i ciemnymi oczami okien, w tłoku ulic zbiegły się domy żydowskie z frędzlami galeryjek wokół, jak owa karczma z „Pana Tadeusza”...*

Tak było jeszcze ponad pół wieku temu, a dziś? Dziś prześwitują te fragmenty dworkowych zabudowań pośród krzaczastej zieleni, której tu mnogość. Góra Bony i ruiny zamczyska srebrzą się być może w świetle księżycy jak dawniej, a reszta tam w dole



Młodzież nowosądecka przy grobie Salomei Słowackiej-Becu. *Listy do Matki*

jest jak cała ukraińska rzeczywistość: szara i zapyziała. Główna ulica to szeroki trakt z poludnia na północ, można nim dotrzeć do pół nad lkwą. Jakiś targ biedniutki, kilka sklepów z towarami mieszanymi (torhowli), ślady prywatnej handlowej inicjatywy i kilka restauracji. W jednej z nich zjadamy niezły obiad. Płacimy oczywiście dolarami. One teraz na Ukrainie w powszechnym obiegu, i waluta najpewniejsza. Cały czas ocieramy się o tutejszą trudną rzeczywistość, która wypływa na każdym kroku. Może uda nam się uciec od niej nad lkwą, rzeką wśród pól i łąk, która tak wyraziście zaistniała w poezji Juliusza? To jego rzeka tęsknoty i chcemy sprawdzić, czy jej uroda mogła inspirować, by być utrwaloną w mowie wiązanej na zawsze. Po przejechaniu kilku kilometrów za północnym wyłotem krzemienieckiej doliny i paruset metrach wyboistej, polnej, choć niegdys asfaltowanej dróżki docieramy do łęgowych zarośli i wierzb. Ta soczysta zieleń wije się wśród równo wołyńskiej, osłaniając cieniami rzekę. Niezbyt to szeroki teraz ciek wodny i niezbyt czysty. Czyżby ścieki Krzemieńca docierały aż tutaj? Przez samo miasto rzeka nie przepływa, choć czyta się o tym tu i ówdzie w literaturze. Jest tam wprawdzie jakaś pozostałość po potoku, jednak w czasie naszej bytności – dokładnie wyschniętym. Ikwa meandruje dość bystrym nurtem wśród łęgowego tunelu i nawet taka, jak jest teraz, skłania do zadumy. Schodzę po stromym brzegu do samej wody, zanurzam dłoń. Mnie, piszącemu od czasu do czasu mową wiążaną, może to dać jakieś wsparcie, jakiś pomysł na słowa i treści. Młodzież zbiera na przydrożnych i nadrzecznych polach obficie rozsypane przez naturę krzemienie. Są różnej wielkości i ciekawie ubarwione: od bieli, szarości, po granat i fiolet. Młodzi prześcigają się

w ciekawych znaleziskach i rezultat jest taki, że w plecakach ciężaru przybędzie. To chyba najmiłsze pamiątki stąd, bo innych brakuje. Nawet widokówek w kioskach czy księgarniach dostać nie można. Takie piękne miejsce na Wołyniu – i bez promocji. No cóż, miasto tak zaniedbane, w którym o muzeum Słowackiego trzeba było walczyć latami. Trzeba było wydierać dworek Słowackich miejskiej bibliotece, a dach budynku ratować nieomal od zawalenia. Może rzeczywiście to miasto na europejską promocję dzisiaj i w tym stanie nie zasługuje, a my Polacy i tak do niego trafimy, mijając po drodze Olesko i prawosławną Częstochowę – wyniosły klasztor w Poczajowie z połączanymi kopułami. Odległość ze Lwowa, gdzie kwaterujemy i dokąd jeszcze dziś powrócić przez Zbaraz musimy, jest dość duża, ale będąc już tutaj – gdzie nabraliśmy wiary, że polski Wieszczyk nie mógł się przecież narodzić nie na polskiej ziemi – doszliśmy do przekonania, iż każdy musi mieć swoje strony, do których powraca tęskną myślą. I swoją rzekę rodzinną, jak Mickiewicz, Słowacki i tylu innych, niekoniecznie tak wielkich. Wpajam sądeckiej młodzieży, że ich rodzinnymi rzekami są Dunajec, Poprad, i będą – jak Juliusz – powracać

*Gdzie góry moje błękitnieją mrokiem,
A miasto dzwoni nad szmerem potokiem,
Gdzie konwaliją woniące lewady
Biegną na skały, pod chaty i sady...*

Oni o Ikwie i krzemienieckich wzgórzach nie powinni zapomnieć. Niech to będzie trwały, kresowy ślad w ich sercach, niech stąd wywiozą pamięć o mieście, w którym rozkwitała jedna z najpierwszych szkół Rzeczypospolitej XIX wieku, akademia Wołynia – Liceum Krzemienieckie, które tak tragiczną cenę zapłaciło za listopadowe powstanie. Te echa carskich i jego gubernatorów restrykcji, echa tępienia wszystkiego co polskie przez bolszewickich sekretarzy i ukraińskich mołojców z sotni Bulby, Bandery i Hrycaja – trwają nieustannie. [...]

Dobrze, że tu byliśmy, że chociaż na parę godzin objęliśmy w posiadanie dziedzictwo królowej Bony i Wieszcza. Dobrze, że na wzgórzu, spod ruin zamku ukazał się nam daleki Zbaraz, że widzieliśmy te pola kresowe, ogniem i mieczem trapione. Kresy Rzeczypospolitej.

Styczeń 2000

Janusz M. Paluch

TU TEŻ IKWA PŁYNIE...

Elektryczka to popularna nazwa pociągu elektrycznego, niezależnie od tego, czy jest on pociągiem niepiesznym, osobowym czy jakimkolwiek innym. Rozróżnienie następuje dopiero wtedy, gdy jedzie np. z Białorusi i wtedy nazywają go *białoruskim*. Takim pociągiem zmierzamy z Krasnego do Dubna. Wagon, które przemierzają Białoruś i Ukrainę, a zmierzają bodaj do Sofii, są z miejscami do leżenia. W niczym jednak nie przypominają naszych kuszetek. Nie mają wydzielonego korytarza, ani przedziałów. A miejsca do leżenia znajdują się wszędzie. Dobrze, że nie musimy w dusznym wagonie, z oknami zabitymi ordynarnymi gwoździami, spędzać nocy, wystarczy tych kilka godzin.

Spoglądam w ciemność za oknem i pytam moich współtowarzyszek podróży, czy będziemy przejeżdżali obok „polskich Termpoil” – Zadwórze.

– Być może – mówi pani Teresa Dutkiewicz – ale i tak nie zobaczymy kopca, bo jest już ciemno.

Pani Teresa, lwowianka, pokazuje mi paszport wydany jeszcze przez władze ZSRR.

– Dla mnie to bardzo cenny dokument. Proszę spojrzeć, tu jest wpisana narodowość. Nie wszyscy Polacy umieli w tamtych czasach przyznawać się do swego pochodzenia. Wtedy była to odwaga. Dzisiaj wszyscy się do Polski przyznają, bo już nie strach, nic za to nie grozi, a poza tym zawsze można się wszystkiego wyprzeć, bo w paszportach ukraińskich nie ma już rubryki określającej narodowość – opowiada nie bez dumy.

Z wykształcenia jest chemikiem, ale z umiłowania dziennikarzem „Gazety Lwowskiej” i scenografem dziecięcego teatryku „Baj”. Do tego dochodzi jeszcze zaszczytna funkcja zastępcy przewodniczącego Federacji Organizacji Polskich nU. Opiekuje się też młodymi ludźmi, którzy chcą dać z siebie nieco więcej niż odrabianie lekcji

w szkole. Powiedziano kiedyś, że we Lwowie nie ma życia intelektualnego. Udowodniła, że to nieprawda. Polską inteligencję najpierw przetrzebili Rosjanie, potem Niemcy. Po wojnie część wyjechała za zachodnią stronę pojałtańskiej granicy. Ci, którzy zostali, jeśli nie trafili na przymusowe zesłanie, chowali głęboko swą narodowość. Pani Teresa jest również inspiratorką i autorką antologii poetów polskich żyjących i tworzących na Ukrainie, która została wydana przez Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” w Warszawie. Ta książka obaliła mit, że na Ukrainie polskie życie intelektualne nie istnieje.

W podróży towarzyszą nam dwie nieśmiałe dziewczyny, uczennice polskiego liceum imienia Marii Konopnickiej – Helenka Duniec i Jana Chanowa ze swoją gitarą. Jako laureatki konkursu recytatorskiego zorganizowanego przez Światowe Stowarzyszenie Złoczowian z okazji Roku Juliusza Słowackiego, dostały zaszczytu zaprezentowania się podczas obchodów rocznicowych w Krzemieńcu, gdzie rozpoczął swą ziemską wędrówkę Juliusz Słowacki. Dla nich to prawdziwy powód do dumy.

W końcu elektryczka zatrzymała się na stacji, na której wysiedliśmy. Skąd moi przewodnicy wiedzieli, że w tym miejscu należy wysiadać, jest ich słodką tajemnicą. Żadnego podświetlonego napisu, tylko ciemność, ciemność, a nad nami rozgwieżdżone niebo, z milionem mrugających iskierek. Pociąg odjechał. Zapadła cisza. Na nieoświetlonym peronie trudno nam dostrzec nawet sylwetę – jak się w dzień okaże – okazałego budynku dworcowego. Dopiero na parkingu, przed dworcem, ostre światła samochodów rozświetlają trochę okolicę. Autobusy już nie kursują. Jesteśmy zdani tylko na taksówki.

– Proszę się nic nie odzywać – nakazuje mi tajemniczo pani Teresa.

Sama udała się w stronę samochodów. Ukrainiec z kozacką urodą i błyszczącym złotym zębem, zobaczywszy bagaże, w tym futerał gitary, zażądał za kurs do hotelu aż 10 grzywien. Na warunki ukraińskie to spora kwota, ale gdy masz wybór iść w nieznaną ciemnymi ulicami – przepłacasz! Oczywiście targi trwały chwilę i skutecznie, bo w końcu cena została obniżona do 6 grzywien. Wsiedliśmy do podstarzałej

lady. Jechaliśmy kilkanaście minut nieoświetlonymi, wyboistymi ulicami Dubna. Kierowca był nader rozmowny. Widząc gitarę, myślał, że ma do czynienia z artystami. Gdy wyjaśniono mu, że to uczennice, zapytał wprost, czy jesteśmy Polakami. Poczuliśmy, że atmosfera czujności w samochodzie wzrosła w tym momencie o kilka punktów w nieokreślonej skali.

– Polacy na Ukrainie mają o wiele lepiej niż nasi w Polsce – stwierdził w pewnym momencie dość autorytatywnie kierowca.

Podziwiałem cierpliwość pani Teresy, opowiadającej mu, jakie możliwości mają Ukraińcy jako mniejszość narodowa w Polsce, ile szkół i klas językowych ukraińskich istnieje wszędzie tam, gdzie są Ukraińcy, chcący uczyć się w języku ojczystym, i jakie dotacje otrzymują od państwa polskiego na swą działalność stowarzyszenia ukraińskie. A potem mówiła o tych dwóch polskich szkołach we Lwowie i trudnościach Polaków na Ukrainie współczesnej. O tym, że gdyby nie finansowa pomoc z Polski niewiele udało by się zdziałać na Ukrainie na rzecz środowiska polskiego. Pomijała prowokacje polityczne związane z Cmentarzem Orłąt Lwowskich. Kierowca kiwał głową i milkł – przekonany, nie przekonany – trudno powiedzieć. Gdy opowiadaliśmy to później miejscowym Polakom, jeden z nich stwierdził, że on chętnie zamieni się z jakimś Ukraińcem z Polski – tylko czy on chciałby się zamienić?

Cały czas, zgodnie z sugestią pani Teresy, milczałem. Taksówkarz spróbował do mnie zagadać, gdy zabieraliśmy walizy z bagażnika samochodu. Ale wtedy natychmiast z jakimś pytaniem do niego zwróciła się Helenka, nie miałem zatem szansy, by cokolwiek powiedzieć. Gdy odjechał, mogłem się w końcu odezwać.

– On nic nie mówił do pana, bo pani Teresa powiedziała, że jest pan głuchoniemy!

Ogarnął mnie nerwowy śmiech. Wszystkiego mogłem się spodziewać, ale nie tego, że na Kresach, w państwie ukraińskim – tak na wszelki wypadek – ukrywał będę swoją polskość... Okazało się, że ten kamuflaż był potrzebny z bardzo prozaicznych powodów, by taksówkarz nie oskubał nas dyktując cenę dla *inostranców* – w dolarach.

Hotel w Dubnie zamknięty na cztery spusty, choć w restauracji trwał głośny dan-

cing. Trzeba było stukać głośno do drzwi, by wezwać recepcjonistkę. Miasto było bowiem sparaliżowane wieścią, że z miejscowego więzienia uciekło czterech groźnych przestępców. Patroli policji nie było jednak nigdzie widać.

Wprawdzie hotel w remoncie, ale dość czysty. Ciepłej wody brak, ale za to zimnej pod dostatkiem. Restauracja przy hotelu – to jak na ukraińskie warunki istny luksus. Uprzejma obsługa, świeże i ciepłe posiłki podane przez kelnerów z ipsis europejskimi szykanami. No i toaleta, czysta, wyłożona kafelkami, z lustrem, papierem toaletowym, nawet czynną elektryczną suszarką do rąk... To prawdziwy szok!

– Nasz samorząd postawił na turystykę. By przyjąć turystów, trzeba mieć przyzwoitą bazę hotelową. Dworzec kolejowy też remontujemy. Dlatego, jak przyjedzie pan do nas za rok, nie pozna pan ani dworca, ani hotelu – mówi jego kierowniczką, Polką z pochodzenia.

Jej marzeniem jest stworzenie agencji turystycznej z prawdziwego zdarzenia, która nastawiona będzie na przyjmowanie

gości – głównie zagranicznych. Ale też organizowała będzie wyjazdy dla mieszkańców Dubna.

– Niech zobaczą, jak można żyć, niekoniecznie będąc bogatymi, lecz zwracając uwagę na takie podstawowe drobiazgi, jak czysta toaleta, posprzątane obejście własnego domu. Wtedy łatwiej będzie radnym przeznaczać pieniądze na naprawę ulic, myśleć o renowacji zabytków miasta. Tych u nas nie brakuje – bo i potężny zamek Lubomirskich, i rynek z domami, w których mieszkał Honoriusz Balzac podczas swej wędrówki po Małopolsce Wschodniej... I Taras Szewczenko odwiedzał nasze miasto... I blisko stąd do Krzemieńca, gdzie nie ma takiej, jak u nas, bazy hotelowej. A przecież Ikwa i tutaj, w Dubnie, płynie...

JANUSZ M. PALUCH, ur. 1955 w Stalowej Woli. Ukończył archeologię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Dziennikarz, wydawca, należy do Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Dyrektor Śródmiejskiego Ośrodka Kultury w Krakowie.



Renesansowe fortyfikacje zamkowe w Dubnie

Dawny kościół garnizonowy
w Równem, obecnie parafialny



Kościół parafialny w Dubnie

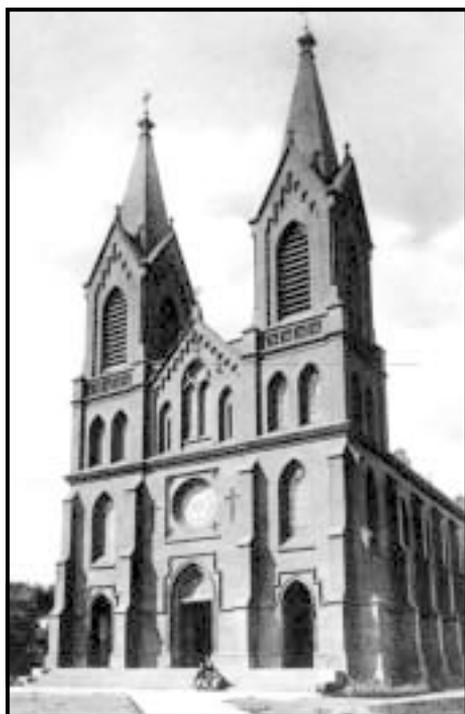


Kościół parafialny w Ostrogu



KOŚCIOŁY WOŁYNIA

wg starych
widokówek



Kościół parafialny w Równem
(obecnie nieczynny)



Kościół parafialny we Włodzimierzu
Wołyńskim

Katedra w Łucku



JM Rektor Franciszek Ziejka

PAMIĘCI ZAMORDOWANYCH PROFESORÓW LWOWSKICH



W CL 1/2000 donosiliśmy o odsłonięciu w krakowskim Collegium Novum Uniwersytetu Jagiellońskiego tablicy pamiątkowej, upamiętniającej profesorów uczelni lwowskich, rozstrzelanych przez Niemców na Wzgórzach Wuleckich 4 lipca 1940 r. Odsłonięcie tablicy odbyło się 6 listopada 1999 r., zaraz po uroczystości, w której uczczono 60. rocznicę Sonderaktion Krakau – aresztowania profesorów uczelni krakowskich. Poniżej przedstawiamy przemówienie, jakie przed odsłonięciem tablicy wygłosił JM Rektor UJ, prof.dr Franciszek Ziejka. W uroczystości wzięli udział ks. kardynał F. Macharski i minister edukacji narodowej M. Handke. Dziękujemy Panu Rektorowi za udostępnienie tekstu.

Tragedia akademickiego Krakowa z epoki II wojny światowej, którą przed chwilą przypomnieliśmy, wskutek swego dramatyzmu weszła do historii jako pierwsza w czasie owej wojny próba zniszczenia elity intelektualnej Polski. Niestety, nie była to próba odosobniona. Los ofiar *Sonderaktion Krakau* podzieliło wielu profesorów innych uczelni polskich: z Poznania i Warszawy, z Wilna i Lwowa. Stali się oni ofiarami nie tylko hitlerowskich, ale także stalinowskich

oprawców. Przypomnijmy: przed dziewięć laty na ścianie naszego Collegium Novum umieszczono tablicę poświęconą *ofiaram terroru sowieckiego, zamordowanym i zaginionym bez wieści w latach 1939–1945*. Na tablicy tej wyryto nazwiska 14 spośród kilkudziesięciu pracowników UJ zamordowanych w Katyniu, Starobielsku, Miednoje i Charkowie. A iluż pracowników naukowych innych uczelni polskich nie

doczekało się jakiegokolwiek formy uczczenia!

Dziś, w 60 lat po wybuchu II wojny światowej, w dziesięć lat po odzyskaniu wolności, pragniemy przypomnieć tragedię profesorów lwowskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza, uczelni z miasta, które przez sześć stuleci – od 1349 roku, kiedy wraz z Rusią Halicką włączone zostało przez Kazimierza Wielkiego do Korony Polskiej, do 1945 roku, kiedy na mocy układów jałtańskich zostało oderwane od Polski – było jakże bliskim bratem Krakowa. Oba miasta dzieliły się chwałą i sławą Rzeczypospolitej, oba także wspólnie przeżywały dni smutku i wojen. Oba, niestety, stały się także teatrem zbrodni hitlerowskich i stalinowskich, dokonanych na pracownikach naukowych.

Przypomnijmy: kiedy jesienią 1939 roku Kraków dostał się pod okupację niemiecką, Lwów zajęły wojska sowieckie. W mieście nad Pełtwią rychło rozpoczęły się aresztowania i wywózki na katorgę części kadry nauczającej na Uniwersytecie Jana Kazimierza, na Politechnice, ale także w Akademii Medycyny Weterynaryjnej czy w Akademii Handlu Zagranicznego. Prawdziwe piekło nastąpiło tu jednak po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej i zajęciu miasta przez armię hitlerowską w dniu 30 czerwca 1941 r. Pośród rozlicznych pogromów, których areną stał się teraz Lwów, w czasie których zginęło z rąk niemieckich i ukraińskich nacjonalistów kilka tysięcy Polaków i Żydów, zegrał się także dramat profesorów uczelni lwowskich. Niemcy działali teraz według nowych już instrukcji gubernatora Hansa Franka, wydanych jeszcze w dniu 30 maja 1940 r. na tajnej naradzie ścisłego kierownictwa SS i policji niemieckiej. Wszechwładny gubernator mówił wówczas: *Nie da się opisać, jakie kłopoty mieliśmy z profesorami krakowskimi. Gdybyśmy sprawę załatwili na miejscu, miałyby ona całkiem inny przebieg. Dlatego proszę usilnie panów, aby nikogo więcej nie odstawiać do obozów koncentracyjnych, lecz tu przeprowadzić likwidację.* I rzeczywiście. Nocą z 3 na 4 lipca 1941 r. dowodzone przez SS-Brigadenführera Ebharda Schoengarta gestapowskie *Einsatzkommando*, to samo, które w listopadzie 1939 r. dokonało aresztowania profesorów krakowskich, wspomagane przez grupy nacjonalistów ukraińskich, roz-

jechało się po mieście w celu dokonania – według ściśle ustalonych list – aresztowań profesorów Uniwersytetu Jana Kazimierza i innych uczelni lwowskich. Aresztowanych przewożono do Bursy Abrahamowiczów na Wzgórzach Wuleckich, gdzie – po kilku godzinach przesłuchiwań – rozstrzeliwano. Tej jednej straszliwej nocy z 3 na 4 lipca 1941 r. pośród ponad 35 ofiar zginęło na Wzgórzach Wuleckich dwudziestu kilku profesorów i docentów uczelni lwowskich. Następne dni i miesiące przyniosły kolejne ofiary. Łącznie, jak obliczają historycy, w czasie II wojny światowej straciło życie ponad 120 uczonych lwowskich. Byli pośród nich ludzie złotymi zgłoskami zapisani w dziejach nauki polskiej i światowej, jak choćby Kazimierz Bartel, wybitny matematyk i polityk w jednej osobie, trzykrotny premier rządu Rzeczypospolitej (rozstrzelany z rozkazu Himmlera 26 lipca 1941 r.), czy znakomity prawnik cywilista, prof. Roman Longchamps de Berier. W nocy z 3 na 4 lipca 1941 roku rozstrzelano kilkunastu profesorów Wydziału Lekarskiego UJK, m.in. Antoniego Cieszyńskiego, Władysława Dobrzańskiego, Henryka Hilarowicza, Witolda Nowickiego, Tadeusza Ostrowskiego, Stanisława Progulskiego, Romana Renckiego, Jerzego Grzędzińskiego, Adama Sołowija i Władysława Sieradzkiego. Los ich podzielili inni: Tadeusz Boy-Zeleński, niezrównany tłumacz francuskich arcydzieł literackich na język polski; bibliista ks. Władysław Komornicki oraz siedmiu profesorów Politechniki Lwowskiej: Włodzimierz Krukowski, Antoni Łomnicki, Stanisław Pilat, Włodzimierz Stożek, Kazimierz Vetulani, Kazimierz Weigel oraz Roman Witkiewicz. Aresztowania i egzekucje profesorów lwowskich ponawiano w dniach 11 i 12 lipca 1941 r., a także w sierpniu 1942 r. Zgodnie z instrukcją Hansa Franka tylko nieliczni odesłani zostali do obozów koncentracyjnych (w Oświęcimiu zginęła znakomita znawczyni heraldyki Helena Polackówna, na Majdanku – historyk literatury polskiej Kazimierz Kolbuszewski), zdecydowana większość ginęła bezpośrednio po aresztowaniu.

Obowiązkiem historyków jest odkrywanie tajników przeszłości. Naszym – złożenie hołdu ofiarom przemocy i terroru. Pro-

(ciąg dalszy na s. 58)

Eugeniusz Nikodemowicz

MEDYCYNA WE LWOWIE W OKRESIE OKUPACJI SOWIECKIEJ

Wspomnienie

JESZCZE WE LWOWIE

Wybuch II wojny światowej zastał mnie w Turce nad Stryjem, gdzie odbywałem praktykę wakacyjną w szpitalu powiatowym. Byłem wówczas studentem po V roku Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Do ukończenia studiów brakowało mi jeszcze 3 miesiące, to jest ostatni, XVI trymestr według przedwojennego programu. Potem należało zdać kilkanaście egzaminów dla uzyskania dyplomu lekarskiego, co zwykle trwało jeszcze co najmniej do następnych wakacji.

Do Lwowa mogłem powrócić dopiero w listopadzie '39 – linia kolejowa była uszkodzona przez działania wojenne. Lwów był już pod okupacją sowiecką. Wydział Lekarski został wyłączony z UJK i zamieniony na samodzielny *Medicinskij Institut*. Miastu przybyła nowa wyższa uczelnia. W ten sam sposób utworzono z różnych wydziałów Uniwersytetu i Politechniki kilka dalszych uczelni, co pozwoliło na propagandowe stwierdzenie wyższości nauki sowieckiej nad np. Stanami Zjednoczonymi, gdzie wyższych uczelni miało być znacznie mniej.

Z wakacji wróciła najwyżej połowa kolegów, około 40–50 osób. Za to przyjechało kilkudziesięciu uchodźców z Warszawy, zajętej przez Niemców, głównie Żydów, a także polskich członków komunistycznej organizacji „Życie”, wierzących jeszcze w uczciwość komunizmu i Związku Sowieckiego. Do końca grudnia odbywaliśmy przewidziane programem zajęcia. Wykłady odbywały się jeszcze po polsku. Po Nowym Roku 1940 przystąpiliśmy do zdawania egzaminów dyplomowych.

Uzyskanie dyplomu uzależniono od wysłuchania wykładów i zdania egzaminu z historii *Wszeczziązkowej Partii Komunistycznej (bol-szewików)* – WKP(b). Podstawą był „podręcznik”, którym zarzucono miasto, w różnych językach, nawet chińskim. W tym podręczniku rozdział trzeci o filozofii marksistowsko-leninowskiej napisał sam Józef Wissarionowicz Dżugaszwili, zwany Stali-

nem. Utworzono katedrę marksizmu-leninizmu, która znalazła pomieszczenie w dawnym seminarium duchownym przy ul. Czarnieckiego. Przez trzy miesiące, do marca, musieliśmy uczęszczać na wykłady tego „przedmiotu”.

Wykłady prowadził „profesor” Karawanow. Stawał za katedrą i wygłaszał z pamięci jednostajnym głosem tekst z podręcznika. Stwierdziłem, że nie mylił nawet kolejności nazwisk *kartów białogwardyjskich, wyrzuconych za burtę*, Zinowiewa, Kamieniewa itd. itd. Egzamin końcowy odbywał się w refektarzu Seminarium. Przy długim stole zasiadło kilkadziesiąt osób. Należało przedłożyć *konspiekt* z przestudiowanej literatury przedmiotu – ograniczaliśmy się do przepisania spisu treści z podręcznika. Pozwolono nam, zdawać po polsku, nikt nie znał rosyjskiego. Profesor siedział na końcu stołu, otoczony liczną grupą swoich docentów i asystentów. Przez cały czas egzaminu prowadził z nimi ożywioną rozmowę. Wszyscy zdaliśmy egzamin z *wynikiem pozytywnym*, odpowiadając na otrzymane na kartkach pytania.

Nasi polscy profesorowie byli jeszcze ci sami. Wszyscy mieli nadal pieczętki urzędowe Wydziału Lekarskiego UJK i wydawali nam zaświadczenia o zdanych egzaminach. Tylko egzamin z rentgenologii lub, do wyboru, z ortopedii został zastąpiony egzaminem z historii WKP(b).

W okresie zdawania egzaminów podjąłem, podobnie jak kilku moich kolegów, pracę w charakterze *lekpoma*, tj. lekarskiego pomocnika w zakładzie dla umysłowo chorych w Kulparkowie. Zadaniem moim było m.in. codzienne wypełnianie protokołu współzawodnictwa socjalistycznego, *socso-riewnowanija*, między oddziałami. Było tam około 20 punktów: o czystości, o zawszawieniu, a także o leczeniu. Leczenie polegało na roznoszeniu między chorymi – byli to przewlekłe chorzy – kropli walerianowych rozpuszczonych w pół litrze wody. Ale mogłem napisać w protokole, że tyłu a tyłu chorych było „leczonych”. Prowadziłem w historiach choroby notatki o przebiegu choro-

by. Mogłem przy tym podziwiać zapisy prowadzone od wielu lat przez starych psychiatrów, jeszcze chyba przed I wojny. Imponujące były dokładne protokoły prowadzonych z chorymi rozmów, które musiały trwać po kilka godzin.

Egzamin z chorób wewnętrznych zdałem jeszcze u profesora Romana Renckiego, który w kilka dni później został aresztowany przez NKWD i osadzony w więzieniu na Brygidkach. Był z nim razem mój bliski przyjaciel prawnik, i od niego wiem, że profesor wraz z nim wyostał się z płonących Brygidek, w czasie kiedy Niemcy nacierali już w czerwcu 1941 r., a NKWD w popłochu ucieczki mordował więźniów.

Ostatnie egzaminy z medycyny sądowej u prof. Sieradzkiego i z higieny u prof. Steusinga zdałem 6 lipca 1940 r. i otrzymałem dyplom lekarza. Na kilka dni przed złożeniem ostatniego egzaminu zjechała do Lwowa komisja z *Narkomzdrawa* z Kijowa, tj. Ludowego Komitetu Ochrony Zdrowia. W skład komisji wchodził naczelniczy wydziałów zdrowia ze wszystkich *rejonów* (tj. powiatów) nowej administracji tzw. *Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi*, odłączonych od państwa polskiego i przyłączonych na podstawie przymusowego „głosowania” do republik sowieckich.

NA WOŁYNIU

Wzywano nas, kończących studia, przed tę komisję pojedynczo. Usłyszałem na wstępie pierwsze i, jak się okazało, najważniejsze pytanie: *socproischozhdienije* – pochodzenie społeczne. Nie znałem zupełnie rosyjskiego, a chciałem powiedzieć, że mój ojciec, inżynier architekt, miał wolny zawód. Ponieważ znałem trochę ukraiński, usiłowalem odpowiedzieć w tym języku, ale nie mogłem sobie w żaden sposób przypomnieć jak należy powiedzieć: wolny zawód. Powiedziałem na końcu, że ojciec *maw wilnyj zawod*, nie wiedząc, że *zawod* znaczy po rosyjsku fabryka. A więc okazałem się synem fabrykanta. Nic gorszego nie mogło się wydarzyć. Wśród członków komisji powstał niepokój, o nic więcej mnie nie pytali i zaczęli gorąco przeszukiwać spisy wolnych placówek. Oto mieli przecież przed sobą syna „wroga ludu”. Zostałem „ukarany” przydziałem do miasteczka Dąbrowica na bagnach poleskich, na północ od Pińska. Wnio-

SŁOWNIK GEOGRAFICZNO- HISTORYCZNY

DUBNO

Położenie. Miasto powiatowe w woj. wołyńskim, stacja na linii kolejowej (Lwów-) Brody–Zdolbunów. Leży nad rzeką Ikwą, która oddziela w tym miejscu Góry Pełczańskie na zach. od tzw. Szwajcarii Wołyńskiej na wsch. Nad rzeką rozciągają się rozległe bagna.

Historia. Po wejściu Wołynia w skład Królestwa Polskiego Władysław Jagiełło nadał włości dubieńskie Teodorowi (Fiodorowi), księciu na Ostrogu (zob. Ostróg), synowi ks. Daniela z rodu Rurykowiczów. Jego potomkowie dzierżyli Dubno do śmierci ks. Janusza, ostatniego męskiego przedstawiciela rodu Ostrogskich (pol. XVII w.). Zamek w Dubnie został wzniesiony, pierwotnie jako drewniany, w połowie XV w. przez Wasyla Ostrogskiego, zwanego Pięknym, a zamieniony na murowany przez Konstantego I Ostrogskiego. Średniowieczna warownia na skalnym cyplu, broniącym wodami Ikwy, dwukrotnie odparła tatarskie oblężenia w 1577 r. Na przeł. XVI/XVII w., za czasów ks. Janusza, otrzymała system nowożytnych fortyfikacji w typie nowowłoskim. Dwa bastiony po stronie zach. zostały zwieńczone *kawalierami* – rodzajem baszt, z których jedna nazywała się „Beatynka”. Wzmocniona twierdza uchodziła w XVII w. za jedną z najpotężniejszych na Wołyniu. Oparła się Chmielnickiemu (który poprzestał na złupieniu miasta i wycięciu 1500 Żydów) w 1648 r. oraz wojskom moskiewskim w 1660 r.

W 1753 r. na podstawie *ugody kolbuszowskiej* przeszło Dubno (wraz z innymi dobrami) na własność rodu Lubomirskich. Za ich czasów nastąpił szczytowy rozwój miasta, tak iż w okresie rozbiorów było ono największym miastem Wołynia. Zamek stracił wtedy znaczenie obronne na rzecz funkcji rezydencjonalnej. Lubomirscy wzniesli wśród zabudowań zamkowych swój pałac, bogato dekorowany, prawdopodobnie dzieło Merliniego. Dawną warownię otoczyły ogrody, założone według projektu D. Miklera.

Do rozwoju miasta przyczyniły się *kontrakty dubieńskie*, przeniesione tu ze Lwowa po I roz-

słem podanie do *Narkomzdrava* i zamieniono mi ten przydział na Hoszczę na Wołyniu, w połowie drogi między Równem a Korcem. Opowiadali mi koledzy z Wołyń, że było to małe miasteczko, domki żydowskie otaczały ryneček, dalej trochę chałup chłopskich, a potem błota, błota, błota aż po horyzont.

W kwietniu 1940 r. przeżyliśmy pierwszą wywózkę ze Lwowa. W nocy 13/14 kwietnia rozjechały się po mieście przednio gdzieś przygotowane samochody ciężarowe. Była godzina 12 w nocy, ludzie posnęli pierwszym snem. Brutalne walenie w drzwi, do mieszkania wkraczali żołnierze NKWD i grożąc rewolwerem nakazywali natychmiast ubierać się i pakować podręczne walizki. Później było jasne, że pośpiech był obliczony na późniejsze rabowanie pozostawionych mieszkań. W ten sposób wywieziono ze Lwowa w jedną noc około 30 tysięcy ludzi. Po 3 tygodniach podróży w bydłych wagonach zaczęły nadchodzić listy z Kazachstanu, w pobliżu Semipałatyńska.

Niemcy już wtedy przygotowywali uderzenie na Sowiety. Do Lwowa zjechała komisja, która rejestrowała Niemców zamieszkałych na terenie Lwowa i okolicy, i ściągała ich do *heimatu*. Pamiętam poniżające wrażenie, kiedy członkowie tej komisji w mundurach niemieckich stali na balkonie hotelu George'a i obserwowali defiladę 1 maja, w której mieliśmy uczestniczyć.

Komandirówka do Hoszczy zawierała zastrzeżenie, że zostaną przekazany do prokuratora w razie niezgłoszenia się w terminie w *obłzdrawotdiele*. Pojechałem więc do Równego i tam zgłosiłem się w wojewódzkim wydziale zdrowia. Okazało się jednak, że było zapotrzebowanie na lekarza we wsi Dziaćkiewicze, 20 km na zachód od Równego. Kierownikiem powiatowego wydziału zdrowia, *rajzdrawotdieła*, był Polak dr Leonard Dubiński, który ucieszył się z mojego przyjazdu i spowodował zmianę mojego przydziału do Hoszczy na Dziaćkiewicze. Tam więc podjąłem pracę jako lekarz dzielnicowy – *uczastkowyj wracz*. Powierzono mi prowadzenie ambulatorium, do którego należały 33 wsie z 14 tysiącami mieszkańców. Wraz ze mną skierowanie otrzymał kol. Skotnicki, Żyd z Warszawy, który miał w starym dworze urządzić szpital. Rozpocząłem więc pracę lekarską w nowym, obcym środowisku wiejskim, którego – jako mieszczuch – zupełnie nie znałem. W systemie

sowieckim nie był przewidziany roczny staż przed podjęciem samodzielnej pracy. Pomogło mi bardzo w tym początkowym okresie to, że od III roku studiów odbywałem regularnie staże w czasie wakacji w szpitalach powiatowych, a był to łącznie pełny rok. Okres pracy na wsi wspominam ze wzruszeniem, ale wymagałoby to specjalnego opisu, co wykracza poza ramy niniejszego artykułu.

W czerwcu 1941 r. Niemcy uderzyli na Związek Sowiecki. W jesieni 1942 r., już w czasie okupacji niemieckiej, powróciłem do Lwowa, ale już w listopadzie zostałem przez „władze” okupacyjne skierowany do wsi Jezierna koło Tarnopola. Tam doczekałem się zbliżenia frontu, kiedy Niemcy wycofywali się spod Stalingradu. Był to kwiecień 1944. Znalazłem się

ZNOWU WE LWOWIE

W lipcu tego roku Sowieci ponownie zajęli Lwów. Zaczęła się druga okupacja sowiecka, która trwa do dzisiaj. Zgłosiłem się w Zakładzie Anatomii Prawidłowej u prof. Tadeusza Marciniaka i pracowałem tam jako asystent do czasu przymusowej ekspatriacji w czerwcu 1946 r. Równocześnie jako wolontariusz pracowałem w Klinice Chorób Wewnętrznych u prof. Wincentego Czernckiego, następnie na oddziale gruźlicy płuc u doc. Stanisława Hornunga. Po południu w VI Robotniczej Poliklinice byłem lekarzem rejonowym.

Profesor Marciniak był następcą prof. Józefa Markowskiego, autora wspaniałego podręcznika anatomii mózgu, którego rękopis został uratowany i wydrukowany po wojnie w opracowaniu prof. Reitera w Gdańsku, jako tom *Anatomii* Bochenka. Profesor Markowski wyjechał w czasie okupacji niemieckiej do Dąbrowy Tarnowskiej i tam zmarł w 1947 r. Z nim dla wielu pokoleń studentów wiążą się najlepsze wspomnienia o pierwszym nauczycielu medycyny. Prof. Marciniak wykładał po polsku na prośbę studentów ukraińskich i rosyjskich. Ćwiczenia prowadziliśmy częściowo po ukraińsku i rosyjsku, a dla Polaków częściowo po polsku. Studentów Polaków była spora grupa. Marciniak wyjechał później do Wrocławia i objął tam katedrę anatomii prawidłowej. Słuchałem jeszcze na I i II roku wykładów prof. Szymonowicza z histologii. Był on

wraz z Napoleonem Cybulskim odkrywca adrenaliny. Jego następcą był doc. Bolesław Jałowy, który zginął tragicznie w czasie drugiej okupacji sowieckiej, zastrzelony przez organizację ukraińską, prawdopodobnie w odwecie za zastrzelenie dra Łastowieckiego, Ukraińca, asystenta katedry fizyki. Zginął też wtedy doc. fizjologii Zdzisław Bieliński – od wybuchu przesłanej mu w paczce bomby. Był on jeszcze przed wojną komunistą wraz z żoną, która została ciężko ranna i oślepiąca od tego wybuchu. Wszyscy studenci i pracownicy Instytutu Medycznego maszerowali w kondukcje pogrzebowym otoczeni z obu stron gęstym kordonem NKWD. Tragiczny był także los profesora biochemii Jakuba Parnasa, który tuż przed wojną został zaproszony na wykłady do Gandawy, co było uważane za wstęp do nagrody Nobla. Został on wywieziony do Moskwy i tam później zmarł w niejasnych okolicznościach w więzieniu. Chory na cukrzycę, był tam podobno pozbawiony właściwego leczenia.

KAŻŃ NA WULCE

Zespół profesorów polskich zmienił się całkowicie: dwunastu zginęło rozstrzelanych 4 lipca 1941 przez hitlerowców na Wulce. Profesor chorób wewnętrznych Roman Rencki, który niedawno, bo z końcem czerwca wydostał się z płonącego więzienia sowieckiego, został aresztowany przez Niemców i znalazł się w grupie profesorów zebranych przed egzekucją w bursie Abrahamowiczów. Zginął wtedy także prof. Jan Grek z interny, a z pediatrii prof. Stanisław Progulski. Aresztowany wraz z nimi kierownik Kliniki Pediatricznej prof. Franciszek Groer uratował się jako jedyny z całej grupy, zwolniony w ostatniej chwili – przypuszczalnie, jak mi opowiadał później prof. Laskownicki – ze względu na żonę Irlandkę, a Niemcy zamierzali założyć w Irlandii swoje bazy wojskowe. Przyszli wtedy hitlerowcy po profesora okulistyki Bednarskiego, którego widocznie mieli w spisie, ale który już wtedy nie żył. Aresztowali i rozstrzelali ówczesnego kierownika Kliniki Okulistycznej doc. Jerzego Grzędzielskiego i profesora stomatologii Antoniego Cieszyńskiego. Przyszli również po profesora dermatologii Romana Leszczyńskiego, który także już nie żył. Podobno także prof. Aleksander Do-

biorze, ściągające szlachtę ze wschodnich terenów Rzeczypospolitej. Po III rozbiore kontrakty przeniesiono do Kijowa, a Dubno podupadło. W 1870 r. Dubno, podobnie jak Łuck i Równe, stało się obozem warownym. Rezydencja zaczęła podupadać w XIX stuleciu, gdyż ostatni polscy właściciele, Lubomirscy, przebywali poza granicami zniewolonego kraju. Przeszło wtedy na własność ks. Bartyjańskich, a od 1870 r. rządu rosyjskiego. W XX w. nastąpiły zniszczenia na skutek zaniedbań, a potem działań wojennych.

Zabytki. Nad miastem nadal góruje zamek z dwoma pałacami – Ostrogskich i Lubomirskich, obecnie remontowanymi. Zachowały się częściowo XVII-wieczne fortyfikacje zamkowe.

Na terenie miasta znajdowało się kilka kościołów i klasztorów, fundowanych przez właścicieli Dubna. Obok Bramy Łuckiej znajdował się kościół bernardynów, fundacji ks. Janusza Ostrogskiego z 1620 r. Po kasacie klasztoru Rosjanie zamienili kościół na cerkiew prawosławną. W okresie międzywojennym powrócił do oo. bernardynów. Barokowy kościół ss. karmelitanek, fundowany w 1630 r. przez Anastazję Czarnecką, oraz klasztor z 1686 r., fundowany przez Teofilę z Zasławskich Lubomirską. Również te obiekty oddali Rosjanie prawosławnym. Były również w Dubnie synagoga i monasterium prawosławne – potem unijne – fundacji Ostrogskich.

Czasy obecne. W Dubnie działa od 1995 r. Towarzystwo Kultury Polskiej, skupiające ok. 100 członków.

(D.T.S.)

KLEWAŃ

Położenie. Miasteczko w powiecie rówieńskim, woj. wołyńskim, położone na wzgórzu nad rzeką Stubło (Stubel, Stubla), lewym dopływem Horynia, przy linii kolejowej i szosie Łuck–Równe (ok. 50 km od Łucka i 25 km od Równego). W okresie międzywojennym liczba mieszkańców wynosiła ok. 2000, z przewagą ludności żydowskiej.

Historia. Według tradycji przy podziale ziem między synami księcia Olgierda, Korygiełto (po chrzcie – Konstanty) miał otrzymać m.in. Czartorysk nad Styrem (ok. 70 km na płn.wsch. od Łucka), od którego domniemani potomkowie Konstantego nosili tytuł i nazwisko książąt Czartoryskich. W r. 1448 Świdrygiełto nadał Michałowi Czartoryskiemu część Klewania i Klewańszczyznę z kilkoma wsiami – odtąd ród ten pisał się *na Klewaniu*. Z nadaniem tym wiąże się pierwsza wzmianka historyczna o miejscowości.

maszewicz, neurochirurg, i prof. Jan Lenartowicz, dermatolog, byli na niemieckim wykazie, lecz zostali poufnie uprzedzeni i zdążyli wyjechać. Zginęli wtedy chirurdzy, profesorowie Tadeusz Ostrowski, Henryk Hilarowicz i Władysław Dobrzański. Rozstrzelano 82-letniego emerytowanego profesora ginekologii i położnictwa Adama Słowija, zginął też doc. Stanisław Mączewski, ginekolog. Rozstrzelano profesora anatomii patologicznej Witolda Nowickiego i medycyny sądowej – Włodzimierza Sieradzkiego.

Wszyscy oni byli naszymi mistrzami, nauczycielami sztuki lekarskiej, u nich słuchaliśmy wykładów i zdawaliśmy egzaminy.

OSTATNI ROK WE LWOWIE

Teraz wolne miejsca zaczęli zajmować Rosjanie i Ukraińcy, głównie przybysze z głębi Związku Sowieckiego. W Klinice Chirurgii pozostał prof. Wiktor Bross, późniejszy profesor we Wrocławiu. W Zakładzie Anatomii Patologicznej pozostał w charakterze asystenta późniejszy profesor Zygmunt Albert, niezwykle zasłużony dla zebrania obszernej dokumentacji kaźni profesorów lwowskich. W Klinice Chorób Wewnętrznych został, ale nie w charakterze kierownika, prof. Wincenty Czernecki, doskonały diagnosta i nauczyciel. Pod jego kierunkiem pracowałem jako wolontariusz i zawdzięczam mu wszystko co umiem z praktycznej interny. Pozostał on we Lwowie wśród swoich antyków i wielkich albumów z dowcipami, którymi w bardzo miły sposób zabawiał swoich gości.

Pełniłem w klinice dyżury. Mało było lekarzy i dyżur obejmował także sąsiednią klinikę wewnętrzną. W czasie takiego dyżuru wydarzyła się rzecz nieprawdopodobna i niesłychana. Zbudzono mnie o 3. w nocy, abym udał się natychmiast do sąsiedniej kliniki. Zastałem tam stojących na korytarzu trzech żołnierzy NKWD, a na sali chorych – jeszcze dwóch. Jeden z nich przywitał się ze mną podaniem ręki, co przyjąłem jako objaw uprzejmości. Ale w czasie tego uścisku poczułem w rękawie enkawudzisty luźną nagana, chodziło o zastraszenie mnie. Tymczasem drugi bandyta kazał natychmiast ubierać się choremu, przy którego łóżku stał, nie pytając mnie, czy jego stan zdrowia na to pozwala. Zabrali człowieka w średnim wieku, Ukraińca, i ślad po

nim zaginął. Na drugi dzień nikt mnie jako dyżurnego lekarza nawet nie zapytał o to, co się stało.

Prof. Czernecki opiekował się wtedy arcybiskupem lwowskim Bolesławem Twardowskim, który zachorował bezpośrednio po pogrzebie metropolity greckokatolickiego Andrzeja Szeptyckiego. Lekarze z kliniki prof. Czerneckiego pełnili dyżury przy chorym w nocy, m.in. dr Gamski, późniejszy profesor interny w Gdańsku. Byłem i ja na takim dyżurze.

Po roku pracy w klinice chorób wewnętrznych docent Stanisław Hornung przyjął mnie w 1945 r., w porozumieniu z prof. Czerneckim, do swojej kliniki gruźlicy płuc. Był to oddział stworzony jeszcze przez prof. Renckiego przed wojną i powierzony Hornungowi. Miał on gotową pracę habilitacyjną w chwili wybuchu wojny, ale nie mógł przeprowadzić przewodu do końca. Był to jeszcze okres, kiedy nie istniały leki przeciwpłatkowe, oddziały gruźlicze wypełnione były ludźmi skazanymi na powolną śmierć. W tym czasie doc. Hornung zdobył gdzieś numery „Lancetu” z pierwszymi doniesieniami o streptomycynie, niedawno odkrytej, i przekazywał te nowości nam, lekarzom z jego oddziału. Zresztą penicylina dopiero zaczynała być stosowana praktycznie w tym czasie. U Hornunga zapoznałem się z zabiegiem przepalania zrostów, który znacznie polepszał wyniki odmy piersiowej, powszechnie wówczas stosowanej metody leczenia gruźlicy płuc, dzisiaj zupełnie zarzuconej. I tak pozostałem już przy tej specjalności jako wierny uczeń prof. Hornunga, po którym objąłem kierownictwo Kliniki Ftyzjatrycznej w Krakowie.

Tak więc rano pracowałem w klinice, potem przechodziłem do Zakładu Anatomii, gdzie prowadziłem przez 4–6 godzin ćwiczenia ze studentami. Po południu pracowałem w VI Pracowniczej Poliklinice. Przyjmołem tam pacjentów jako lekarz rejonowy, odwiedzałem też chorych w domach. Znaczna część tej pracy polegała na wystawianiu tzw. *bolnicznych listków*, tj. zwolnień lekarskich z pracy. Były to druki na papierze ze znakami wodnymi. Posłużyły za wzór naszym drukom L4.

W marcu 1945 r., jeszcze przed zakończeniem wojny, zaczęto powoływać do wojska Ukraińców, aby w ten sposób prawdopodobnie zabezpieczyć tyły przed powsta-

niem organizacji antysowieckich. Takiemu transportowi pobranych – a byli to też ludzie w starszym wieku – musiał towarzyszyć lekarz. Kilku kolegów dojechało aż w pobliże Moskwy. Dostałem, jako lekarz polikliniki, nakaz wyjazdu z takim transportem. Dojechałem do Żytomierza. Tu ku zaskoczeniu pierwsze słowa, jakie usłyszałem na ulicy, były po polsku – jakiś starszek pytał czystą polszczyzną: *skąd panowie przyjechali?* Przez tydzień liczone przybyłych poborowych, ponad stu uciekło z transportu w Zdobunowie wraz z jednym żołnierzem strażnikiem. Na spotkanie tysięcy ludzi liczącej kolumny wyszła z koszar orkiestra dęta, z trudem grająca z powodu silnego mrozu. W drodze powrotnej szliśmy na skroty przez stary, rozległy cmentarz, pełen tylko polskich grobowców. Niektóre były zniszczone i porozbijane.

Dwoje lekarzy lwowskich należy tu wspomnieć ze względu na szczególnie ważną i pożyteczną działalność, jaką rozwinęli we Lwowie w czasie okupacji sowieckiej: profesora Henryka Mosinga i dr Irenę Pelczarską. Mosing wyszedł ze szkoły prof. Rudolfa Weigla. Pozostał we Lwowie aż do śmierci w 1999 r.. Był bardzo ceniony przez władze jako wybitny uczony. Równocześnie z dużym poświęceniem odwiedzał chorych w domach, opiekował się starcami. Przed kilkunastu laty przyjął w tajemnicy święcenia kapłańskie i łączył pomoc lekarską z posługą religijną. Dr Pelczarska, dawna asystentka prof. Renckiego, pozostała również we Lwowie. Zamieszkała z dwoma pielęgniarkami Marią Skierską i Janiną Sosabowską oraz stworzyła nieoficjalny ośrodek pomocy dla społeczności polskiej we Lwowie. Współpracowała z prof. Mosingiem. Zmarła przed paroma laty w 80. roku życia, a jej towarzyszki tam nadal pozostają.

Zbliżał się rok 1946. Ogłoszono tzw. *repatriację*, która była w rzeczywistości dla nas ekspatriacją. Należało zarejestrować się w biurze przy ul. Dąbrowskiego. Staliśmy na zewnątrz z kilkoma woźnymi z Zakładu Anatomii. I tu wydarzyła się przygoda, która ilustruje dobrze nastrój zastraszenia, powszechnie wówczas panujący. W pewnej chwili podszedł do naszej grupki żołnierz bez specjalnych odznak i położył mi rękę na ramieniu: – *Pan*

(ciąg dalszy na s. 58)

Michał rozpoczął w Klewaniu budowę zamku, kontynuował ją jego syn Teodor, a ukończył wnuk Jan. O własność terenu, na którym wystawiono zamek, wybuchł spór z Radziwiłłem z sąsiedniej Olyki, zakończył się jednak polubownie w 1555 r. Księstwo klewańskie do rozkwitu doprowadził syn Jana, Jerzy, starosta łucki, który swój dwór przeniósł z Łucka do Klewania i zaczął rozbudowywać miasto. Był pierwszym z Czartoryskich, który przyjął wyznanie rzymskokatolickie. W r. 1590 wystawił drewniany kościół z plebanią i przy niej założył szkołę.

W r. 1630 drewniany kościół został zastąpiony murowanym, w stylu barokowym, o trzech nawach i dwóch wieżach. Fundatorem był Mikołaj Jerzy, wojewoda wołyński, żonaty z Izabelą z Koreckich, która w wianie wniosła mu tzw. *państwo koreckie*. Odtąd ród Czartoryskich nabierał w Rzeczypospolitej coraz większego znaczenia. Mikołaj i Izabela wybudowali w Klewaniu kaplicę zamkową, w której umieszczono obraz Matki Boskiej i relikwie św. Bonifacego, przywiezione z Rzymu przez ich syna Kazimierza, późniejszego prymasa i kardynała; potem przeniesiono je do kościoła parafialnego. M.J. Czartoryski podniósł Klewań do poziomu najzamożniejszych grodów Wołyń. Ufundował stypendia dla dwóch najzdolniejszych uczniów. Uroczystości urządzone z różnych okazji ścierały do Klewania przybyszów ze wszystkich stron Polski i z zagranicy.

W czasach buntów kozackich miasto było kilkakrotnie pustoszone, ponownie w 1653 r. przez Tatarów. Czartoryski, nie szczędząc kosztów, odbudował je z ruin i zgłiszcz, wystawił okazały ratusz, wiele budynków, odnowił i umocnił zamek. Król Jan Kazimierz nadał wówczas Klewaniowi prawo magdeburskie, ustanowił dwa jarmarki rocznie i dwa targi tygodniowo, jednak do dawnego stanu miasto już nie wróciło.

W r. 1701 wnukowie Mikołaja Jerzego – Kazimierz, kasztelan wileński, i Józef, stolnik litewski – dokonali działań majątkowych: Kazimierzowi przypadła włość klewańska i żukowska (Żuków Stary – 8 km na płd. od Klewania), a Józefowi – korecka. Od tego czasu były dwie linie Czartoryskich, związane z tymi włościami. W 1747 r. wskutek pożaru zniszczony został kościół w Klewaniu. Odbudowała go żona Kazimierza, Izabela z Morstinów; kościół konsekrowano.

Ks. Czartoryscy urosłszy do wielkiego znaczenia w Rzeczypospolitej i mając wiele innych siedzib w różnych częściach państwa, opuścili rodzową miejscowość. Klewań przeszedł na młodszego syna Kazimierza, Augusta, wojewodę ruskiego, przywódcę stronnictwa zwanego *Familią*,

Adam Trojanowski

REFLEKSJA NA SZEŚĆDZIESIĘCIOLECIE

Wkroczenie oddziałów Czerwonej Armii do Lwowa poraziło kompletnie polską inteligencję. Najpierw mentalnie, a potem bardzo szybko także ekonomicznie. Ta grupa społeczna była szczególnie przepełniona patriotycznymi nastrojami, z jakimi przystępowaliśmy do wojny i w takich trwaliśmy nadal podczas oblężenia miasta. W tak bardzo zróżnicowanym społeczeństwie tego miasta, nastroje w innych grupach społecznych i narodowościowych były całkiem inne, skore nawet do radości i wręcz zachwytu dla nowej sytuacji. Przynajmniej na początku!

Miasto trwało jeszcze niedawno w stanie oblężenia, utrzymując na obrzeżach ciągłą linię frontu. Mimo bombardowań lotniczych, a także systematycznego ostrzału artyleryjskiego Wojsko Polskie oraz inne organizacje paramilitarne, a także cywili ochotnicy utrzymywali swoje pozycje. Miasto było zdecydowane bronić się nawet na ulicach, gdyby front

został gdzieś przez Niemców przerwany. Ludność cywilna – przy wskazówkach wojskowych – budowała w poprzek ulic barykady. W takiej budowie uczestniczyłem osobiście u zbiegu ulic Zielonej i Stelmacha, obok gmachu Akademii Weterynaryjnej. Mimo iż był to teren zwartej zabudowy miejskiej przygotowywano się i tam do dalszej walki obronnej.

Pierwszym złowróżbnym zwiastunem, wtedy jeszcze niezupełnie jasnym co do intencji, był przelot ładnego, nowoczesnego samolotu typu PS-84 (licencja USA DC-3), błyszczącego swym aluminiowym poszyciem i oznaczonego czerwonymi gwiazdami. Przeleciał od strony Pohulanki, ponad moim miejscem zamieszkania na Kwiatkówce, w kierunku Skniłowa, ku tamtejszemu lotnisku. Celem oczywistym było wylądowanie tam. Nie umieliśmy sobie wtedy wytlumaczyć powodu pojawienia się tego obcego samolotu nad obleganym miastem, tym bardziej że nasza dość liczna i aktywna artyleria przeciwlotnicza nie oddała do niego ani jednego wystrzału. Dopiero później okazało się, że samolotem tym przyleciała sowiecka delegacja celem pertraktowania z Niemcami w sprawie przejęcia miasta po odstąpieniu ich spod Lwowa. Drugi i już całkowicie jednoznaczny kontakt z sowieckim wojskiem nastąpił 22 września, wkrótce po godzinie czternastej, po uzgodnieniu honorowych warunków kapitulacji przez Dowództwo Obrony Lwowa z Czerwoną Armią.

Na Kwiatkówce mieszkałem przy ul. Właśny Dom, która zamykała od wschodu pnącą się ku górze ul. Pawlikowskiego. W jej perspektywie zobaczyłem poruszającą się ku miastu ulicą Zieloną kolumnę sowieckich czołgów, z których jeden skręcił natychmiast w naszym kierunku, podczas gdy pozostałe toczyły się dalej w dół. Czołgowi temu z obu jego stron towarzyszyła poruszająca się tyraliera grupa piechoty z karabinami, na których osadzone były charakterystyczne, długie i cienkie bagnety. Od czasu do czasu żołnierze ci oddawali strzały do zaciemnionych czarnym



papierem okien, które – zgodnie z obowiązującymi jeszcze podczas ubiegłej wojny zwyczajami, były zamknięte. Miało to sygnalizować, że nikt z tych okien strzelać nie będzie. Tymczasem żołnierze sowieccy spodziewali się, że właśnie spoza tego zaciemnienia może ich ktoś ostrzelać. Nie czekając przeto na taką ewentualność, swoją strzelaniną terroryzowali przestraszoną ludność cywilną, która kryła się raczej w piwnicach.

Czołg toczył się powoli, systematycznie w moją stronę, gdy nagle z terenu piaskowni na tyłach naszego domu wyjechał w pełnym galopie wóz wojskowy, powożony przez zdezorientowanego i przerażonego żołnierza polskiego. Wieża czołgu obróciła się powoli ku temu zaprzęgowi i w tym momencie padła z niej seria karabinu maszynowego. Zaprzęg skręcił natychmiast w bok, na niezabudowaną parcelę i dalszego losu niefortunnego żołnierza już nie poznałem. Potem okazało się, że identycznie zachowała się już nieco wcześniej wspomniana kolumna czołgów, która na tzw. Górnej Zielonej, na wysokości tamtejszych zbiorników Wodociągów Miejskich, ostrzelała ogniem na wprost wycofującą się ku wschodowi dużą kolumnę zmilitaryzowanej policji konnej. Oczywiście wielu policjantów padło od czołgowych karabinów maszynowych. Takie wiadomości dotarły do nas, a sam później widziałem świeże mogiły, oznaczone wspólnym krzyżem przy dużym zakręcie ul. Zielonej, w pobliżu cegielnianych terenów tzw. Szatelerówki, blisko wysypiska śmieci. Tam też ukryłem wkrótce broń palną oraz białą, własność mego ojca, który nie chciał jej oddać bolszewikom, wbrew ich wezwaniom.

A czołg potoczył się dalej, minął nasz dom, wjechał na teren sąsiedniej piaskowni, obrócił powoli swoją wieżę i wypalił z działka w ścianę zamieszkiwanego przez nas domu. Chodziło w dalszym ciągu o zastraszenie ludności. Nie potrzeba opisywać naszego stanu psychicznego w obliczu oczywistego już teraz wroga – i to w sensie podwójnym: jako obcego nam swoją narodowością i jako przeciwnika klasowego. Oba te czynniki dały szybko o sobie znać.

Przed ostatnimi wakacjami ukończyłem 3. klasę gimnazjalną i miałem kontynuować naukę w VIII Państwowym Gimnazjum i Li-

a nawet kandydata na tron polski, żonatego z wdową Denhoffową z Sieniawskich, dziedziczką olbrzymiej fortuny. Następnym właścicielem Klewania był ich syn Adam Kazimierz, znany jako *generał ziem podolskich*, żonaty ze słynną Izabelą z Flemingów (rezydowali w Puławach), a po nim jego młodszy syn Konstanty, brat bardziej znanego Adama Jerzego.

Konstanty był ostatnim z Czartoryskich, który jeszcze przejawiał troskę o dawne gniazdo rodu. W 1817 r. przebudowano część zamku w Klewaniu, tworząc w niej gimnazjum polskie, któremu Konstanty ofiarował bibliotekę, urządził gabinety naukowe i założył ogród botaniczny, nauczycielom udostępnił bezpłatne mieszkania w zamku. Utworzył drugą szkołę parafialną, ustanowił fundację dla ubogich dziewcząt, założył aptekę, zapewniając bezpłatne leki i opiekę lekarską dla biednych studentów. W r. 1831 władze carskie zamknęły polskie gimnazjum, a zbiory przeniosły do Równego, gdzie uległy one rozproszeniu.

Książę odnowił również kościół i znajdujące się w nim grobowce swych przodków, a do głównego ołtarza ufundował obraz *Wniebowzięcie MB*, pędzla Carlo Dolciego. W miasteczku powstała cegielnia i wytwórnia dachówek, wszystko to jednak podupadło po wyjeździe księcia w 1828 r. do Wiednia. Jego syn Aleksander na początku lat 80. XIX w. odsprzedał dobra klewańskie carskiej rodzinie. Zamek stał się siedzibą zarządu dóbr państwowych. W 1901 r. restaurowano kościół.

W 1915 r. podczas działań wojennych zabudowania zamkowe uległy znacznemu zniszczeniu; w okresie międzywojennym część z nich odbudowano i znowu przeznaczono na szkołę.

Po wkroczeniu wojsk sowieckich w 1939 r. księcia klewańscy opuścili parafię, uprzedzeni o mającym nastąpić aresztowaniu. W wyniku starań wiernych opiekę duszpasterską pełnili księża z sąsiednich dekanatów. W maju 1945 r. ludność polska została wysiedlona z Klewania. Wzięła z sobą większość kościelnego wyposażenia, w tym cudowny obraz MB i relikwie św. Bonifacego. Obraz znajduje się dziś w Skwierzynie k. Gorzowa Wkp. Kościół w Klewaniu zajmowała szkoła techniczna.

Zabytki. Kościół parafialny z XVII w. z płytami nagrobnymi Czartoryskich. Pozostałości zabudowań zamkowych z kamiennym mostem.

Czasy obecne. Kościół po dewastacji jest obecnie odnawiany. W Klewaniu działa od 1992 r. Towarzystwo Kultury Polskiej, skupiające ok. 65 członków.

(T.K.)

ceum im. Króla Kazimierza Wielkiego. Numer tarczy uczniowskiej – 566. Nie pamiętam dobrze, ale był to chyba początek paździenika, gdy pojawiłem się w swym dawnym gimnazjum w otoczeniu dawnych kolegów i profesorów. Nie wszystkich oczywiście, jako że część z nich opuściła Lwów w obliczu rozgrywających się walk i znalazła się na innych terenach, gdzieś na wschodzie albo już poza granicami kraju. Większość kolegów była jednak ta sama, a nadto doszło kilku nowych. Spośród profesorów brakowało, o ile pamiętam, geografa Tadeusza Dręgiewicza. Był to w ogóle bardzo aktywny działacz sportowy, a „Pogoni” w szczególności. Był także opiekunem przysposobienia wojskowego w naszym gimnazjum. Brakowało prof. Podwapińskiego, który uczył nas wtedy tzw. ćwiczeń cielesnych. Także i on był w jakiś sposób związany z obronnością kraju. Nie było również prof. Jaślikowskiego, który uczył łaciny. Miał za sobą przeszłość strzelecką, jeszcze sprzed I wojny światowej. Brakowało prof. Kmicikiewicza, też geografa, który niezbyt miło zapisał się w mojej pamięci – ale pewnie z mojej, a nie z jego winy. Ale chwalebnie zapisał się podczas wojny, którą spędził w Szwajcarii, prowadząc działalność pedagogiczną wśród internowanych tam naszych wojskowych.

Wymienione osoby prawdopodobnie doskonale zdawały sobie sprawę, czym może im grozić ze względu na przeszłość i działalność, zarówno Niemiec, jak i bolszewik. Wiadomo mi, że po wojnie wrócił do kraju z Węgier prof. Dręgiewiczy i w Krakowie próbował, oprócz pracy zawodowej, również kontaktu z umitowanym sportem. Na pewno nie wznowił zajęć po wrześniu '39 docent Czesław Nanke, mianowany wcześniej profesorem Uniwersytetu Jana Kazimierza, ceniony historyk i autor podręczników. Swoim zachowaniem i wyglądem budził wśród nas grozę. Krążyło powiedzonko: *Ananke gnębiła Greków, a Nanke gnębi nas!*

Brakło oczywiście także naszego, bardzo lubianego katechety, ks. Filipa Kmity, który wcześniej zmarł, a nowego nie zdążyliśmy przyjąć. I tak byłby niepotrzebny w nowej, sowieckiej szkole!

A ta nowa szkoła, to po prostu Szkoła Średnia nr 14 z polskim językiem wkładowym, ale wedle sowieckiej modły – bez łaciny i religii. Z początku władze sowieckie nie miały określonego programu nauczania i zajęcia były prowadzone wedle uznania poszczególnych nauczycieli, z uwzględnieniem aktualnej sytuacji. Szkołą kierował na razie uprzedni dyrektor Alfred Hodbod, z czasem jednak zaczęły się pojawiać postacie reżimowe: przyszła dyrektorka o nazwisku Menis, a także jakiś typ z twarzą kryminalisty, który uzyskał tytuł *zawpe-da*, czyli kierownika pedagogicznego szkoły. Do kompletu dołączyła młoda, potężnie zbudowana, dziadowsko ubrana, ale stale uśmiechająca się zawodowo – komsomołka, która – jak pamiętam – nie znalazła wśród nas żadnego amatora do swojej organizacji. Nie wiem, jak wyglądał ten problem w klasach niższych, możliwe że młodsi ulegali presji.

Wszyscy w klasie byliśmy zwarczi i wzajemnie ufaliśmy sobie, nie bojąc się wyspy z powodu ujawnianych między sobą poglądów. Z początku ostentacyjnie modliliśmy się w klasie po dawnemu, na początku i na końcu zajęć. Czyniliśmy to sami, bez udziału profesorów, by ich nie narazić na kłopoty. Modlitwa była demonstracyjna, bowiem obracaliśmy się wtedy tyłem do portretu Stalina, który wprowadzono nam dość szybko w miejsce krzyża oraz portretów naszych przedwojennych dygnitarzy.



Terror polityczny zaczął się szybko szerzyć w całym mieście, a więc i w szkole. Jednym z jego pierwszych objawów był pamiętny *miting*, zorganizowany w kinie „Palace”, gdzie spędzono setki uczniów z różnych szkół Lwowa – na temat włączenia do ZSRR terenów tak zwanej *Zachodniej Ukrainy*, a więc nas wszystkich. Zachowywaliśmy się wtedy głośno i lekceważąco, ale nagle poczułem – jak to się mawia – chłód przyłożonej broni do pleców. Między nami byli przeróżni agenci i donosiciele, w tym także rodzimego pochodzenia, którzy temu nowemu dla nas reżimowi towarzyszyli aż do końca – poprzez służbę w NKWD. W takiej sytuacji nasze zachowanie i ujawnianie przyjmowanej dotąd otwarcie postawy wśród kolegów musiało się zmienić, z zachowaniem jednak naszej koleżeńskości, swarości, zaufania i solidarności. A było nas w klasie prawie pięćdziesięciu. [...]

Moim ówczesnym światem był dom rodzinny oraz szkoła i to, co się z nią wiązało, a więc koledzy i codzienna droga do niej. W sumie był to smutny i skromny świat. Bieda w każdej postaci zaczęła doskwierać bardzo szybko, mimo że już podczas oblężenia wypłacono ojcu trzymiesięczne pobory. Ojciec jako emeryt i to bardzo na ówczesny czas *śmierdzącej* profesji nie miał szans na dalszą emeryturę lub zatrudnienie. Musiał siedzieć raczej cicho jak mysz pod pudłem, co mu się jednak nie na wiele przydało, ale o tym później. Na razie zaczęliśmy wyprzedawać trwałe dobytki domowe – na pierwszy cios poszedł bardzo dobry fortepian firmy Brueder Mikula – Wien. Kupił go oczywiście jakiś bolszewik, bo któżby z Polaków mógł się na to zdobyć? Za uzyskane pieniądze zakupiono zapasy żywności, które w znacznie większej części zostały zakopane w piaszczystej piwnicy. A sytuacja żywnościowa była coraz bardziej dramatyczna. Brakowało wszystkiego, nawet zwykłego, czarnego i lepiałego się chleba, po który trzeba było wystawać w ogonkach, uprzednio nam nie znanych.

Ojciec mój, a na pewno nie tylko on, wyobrażał sobie że wojna nie potrwa długo, że wrócą dawne czasy i zakupione wiktuały wystarczą nam na przeczekaanie. Co za okropna naiwność, a równocześnie wiara w to, czego sobie wszyscy życzyliśmy.

KRZEMIENIEC

Położenie. Miasto powiatowe w woj. wołyńskim, położone na skraju Wyżyny Podolskiej, przeciętej jarami i wzniesionej wysoko ponad nizinę, rozciągającą się po stronie pln.-zach. Na dnie największego i najdłuższego jaru, wygiętego esowato, leży centrum Krzemieńca i jego główna ulica (Szeroka), będąca fragmentem drogi z Wiśniowca do Dubna. Zabudowa miasta układa się na stokach wzgórz. Dnem tego jaru płynie potok Irwa, dopływ Ikwy. Mniejsze jary, będące odgałęzieniami głównego, oddzielają od siebie poszczególne wzgórza, tworzące *Góry Krzemienieckie*. Dochodzi tu linia kolejowa, odgałęzienie (w Kamienicy Wołyńskiej) od linii (Lwów–) Brody–Zdolbunów.

Krzemieniec był przede wszystkim ośrodkiem oświatowym, ale w mieście i okolicy rozwijało się rzemiosło i przemysł, związane głównie z rolnictwem, przy majątkach należących do Liceum Krzemienieckiego.

Historia. Krzemieniec był jednym z najstarszych grodów na Wołyniu. W X w. był tu prawdopodobnie zamek książąt ruskich. Istnieje wzmianka z r. 1064, kiedy to Mikosiej miał dobrowolnie oddać zamek Bolesławowi Śmiałemu. W 1226 r. zamek oparł się królowi węgierskiemu Andrzejowi II, a w 1240 r. Tatarom pod wodzą Batu Chana. W r. 1321 przeszedł Krzemieniec wraz z Łuckiem pod panowanie litewskie, okresowo należał do Polski. W 1431 r. Świdrygiello nadał osadzie wyrosłej przy zamku prawa miejskie (magdeburskie). W 1434 r. zamek został poddany królowi polskiemu. W czasie licznych napałów tatarskich, których nasilenie nastąpiło ok. r. 1500, zamek nie był zdobyty, ale ucierpiało miasto i okolica.

Król Zygmunt Stary najpierw przekazał zamek wraz ze starostwem biskupowi wileńskiemu Januszowi, a później – w związku z objęciem przez tegoż diecezji poznańskiej – swojej żonie, królowej Bonie. Darowi towarzyszył obowiązek wzmocnienia warowni i utrzymania załogi. Przywileje i nadania spowodowały znaczny rozwój miasta, który utrzymywał się do połowy XVII w. W czasie buntów kozackich w 1648 r. pod miasto podszedł słynny z okrucieństw ataman Maksym Krzywonos, który po sześciotygodniowym oblężeniu zdobył i splądrował zamek. Od tego czasu zamek popadł w ruinę.

Natomiast miasto w kolejnych stuleciach ożywiało się, gdy stawało się ośrodkiem oświatowym, lub podupadało, gdy szkolnictwo było likwidowane. Tak było w XVIII w. wraz z powstaniem kolegium jezuickiego, w XIX w., gdy utworzono tu Gimnazjum-Liceum Wołyńskie,

Niedługo potem poszedł na sprzedaż piękny, duży dywan perski, który zdobył nasz salon. Pojawił się jakiś umówiony sowiecki *komandir*, zrolował go i wsadził sobie od razu cały ten ciężar na plecy. Reszta trwałego dobytku to już były raczej rzeczy drobne, ale i one były systematycznie spieniężane. Ja i siostra chodziliśmy do szkoły, a ojciec i matka siedzieli w domu. Jednym ze sposobów dorobienia stało się wynajęcie wspomnianego salonu sublokatorom, a byli nimi kolejno niejaki Mandelbaum, uciekinier żydowski z zachodniej Polski, prof. Karliński, a wreszcie pan Lipski i jego rodzony brat Gutman z miasta Łodzi.

Prof. Karliński zginął na przełomie marca i kwietnia 1940 r. podczas nielegalnego przekraczania granicy węgierskiej. Był on wtedy komendantem Obszaru Lwowskiego ZWZ-1 w randze pułkownika, o czym wiedział doskonale mój ojciec, także członek tej organizacji. W rzeczywistości nazwisko Karliński było fikcyjne, a chodziło o płk. Władysława Żebrowskiego. O tym wszystkim powiadomiłem swego czasu prof. J. Węgierskiego, który wskazał mi osobę płk. Żarnowickiego w Paryżu. Był on, jak się okazało, adiutantem Żebrowskiego, a przychodził prawie codziennie do naszego domu w sprawach konspiracji. Znałem go więc bardzo dobrze, oczywiście pod innym nazwiskiem. Wszystkie te ciekawe szczegóły można znaleźć w moim artykule pt. *Konfrontacja po 55 latach*, umieszczonym w „Biuletynie Informacyjnym Żołnierzy Armii Krajowej Okręgu Lwowskiego” nr 1/86.

W maju 1940 r. przybyła do Lwowa niemiecka misja repatriacyjna, która ulokowała się w jednej z willi przy ul. 29. Listopada lub jednej z jej przecznic. Codziennie ustawały się tam tłumy ludzi, którzy usiłowali legalnie wydostać się z sowieckiej rzeczywistości. Nie zabrakło tam także mojego ojca, któremu towarzyszyłem. Tam po raz pierwszy zobaczyłem prawdziwego SS-owca, w pełnym mundurowym wydaniu, łącznie z charakterystyczną trupią czaszka na zadartej w górę czapie. Wyczyny tej organizacji nie docierały wtedy jeszcze do naszej świadomości i w tym niewątpliwym zbirze czekający w ogonku upatrywali swego zbawcę. Od niego zależało, czy wpuści kogoś z tłumu i umożliwi wyjazd do Generalnej Guberni. Oczywiście działalność tej komisji odbywała się pod ścisłą kontrolą



Pismo wydawane po polsku w okresie okupacji sowieckiej. Podpis: – Proszę pana, nie wie pan, dokąd ci ludzie się spieszą?
– Oni tak się spieszą, bo pilno im odebrać mój bank i pańską ziemię, proszę pana.

NKWD, które przy tej okazji dowiadywało się o zamierzeniach poszczególnych amatorów opuszczenia sowieckiego raju. Komisja nie pracowała regularnie, nagle przerywała swą działalność bez uzasadnienia oraz informacji o wznowieniu urzędowania. Części petentów udało się faktycznie wyjechać, ale było ich niewiele i brakło wśród nich oczywiście nas.

Tymczasem bezpieczeństwo wielu Polaków zaczynało być coraz bardziej zagrożone. Miały miejsce stałe aresztowania i okresowe wywózki. W takiej sytuacji ojciec mój przestał nocować w domu i skorzystał z odważnej gościnności swych kuzynek Sługockich, zamieszkałych przy ul. Chorążczyzny. Ponieważ aresztowania przez NKWD odbywały się z reguły w nocy, można było z dużą dozą uzasadnionej wiary przyjąć, że skoro nie zabrano kogoś w nocy, to dzień może delikwent spędzić bez zagrożenia w swoim mieszkaniu. Na tej zasadzie ojciec mój opuszczał wieczorem dom, a rano powracał, patrząc uprzednio, czy na oknie naszego mieszkania wisi biały ręcznik, wystawiany przez matkę jako znak. Ten system działał przez dłuższy czas i jakoś się udawało. W pewnym momencie ojciec zrezygnował z gościnności udzielanej mu przy niemałej dozie ryzyka ze strony samotnych kobiet i pozostał na noc w domu. Też te nocy

przybyło NKWD i ojca aresztowało. Widać było, że dom był obserwowany, a zadunculował prawdopodobnie ktoś z bliskiego sąsiedztwa.

Przebywał jakiś czas w Brygidkach i na Zamarstynowie, potem oficjalnie wystąpił do nas listownie o dostarczenie ciepłego okrycia i potem ślad po nim zaginął. Próba interweniowania ze strony mojej matki u W. Wasilewskiej nie dała rezultatu, gdyż ta oświadczyła, że takimi sprawami się nie zajmuje. *Notabene* zamieszkiwała wtedy w willi przy ul. Pawlikowskiego, którą przedtem zajmował prof. Liebich.

Wiadomo było z praktyki, że w przypadku aresztowania kogoś NKWD zjawiało się wkrótce po resztę rodziny, którą wysyłano do Kazachstanu lub do innej części ZSRR. Opierając się na tej zasadzie działania NKWD, postanowiliśmy czym prędzej opuścić nasze mieszkanie, zabrać ze sobą co najpotrzebniejsze i przenieść się do naszych znajomych, starszych państwa Mogilnickich przy ul. Chłopickiego na Wulce. Teraz dopiero widzę, że NKWD wówczas nie docenialiśmy, uważając te służby za zbiorowisko prymitywu i sowieckiego analfabetyzmu. Rzeczywistość była zupełnie inna i gdyby chciano nas koniecznie wywieźć, to nie było prawie żadnych trudności, by nas odnaleźć i to bardzo szybko. Była to organizacja olbrzymia i rozległa, angażująca ludzi w swej specjalności wybitnych, i wszechogarniająca nie tylko tereny ZSRR, lecz cały świat. Na terenie Lwowa wiele tej instytucji pomogli nasi lwowscy ludzie, w tym niestety nawet wysokiej rangi oficerowie Wojska Polskiego. Z przerażeniem dowiedziałem się o tym teraz, ze stosownej literatury dokumantarnej.

Nawiasem mówiąc, ze względu na stale grożącą wywózkę zaczęliśmy wzorem innych lwowian zbierać na zapas ciemny chleb i suszyć go na blacie kuchennym. Podobno tak miał się najlepiej utrzymywać przez dłuższy czas. Ususzony chleb przechowywaliśmy w przewiewnym worku, a miał on służyć podczas długotrwałej podróży na miejsce zesłania – kiedy to karmiono ludzi soloną rybą. Na szczęście nie musiał być wykorzystywany.

Ciąg dalszy w następnym numerze

a następnie w XX w., gdy działało Liceum zwane Krzemienieckim.

Na pocz. XVIII w. starosta krzemieniecki Janusz Wiśniowiecki i jego brat Michał Serwacy sprowadzili do Krzemieńca oo. jezuitów, obiecując im ufundowanie budynków klasztornych i szkolnych oraz kościoła. Początek akcji oświatowej zakonu miał miejsce w 1713 r., a początek budowy kościoła w 1731 r. Głównym budowniczym gmachów w centrum miasta był Paweł Giżycki. Po śmierci pierwszych fundatorów budowę kontynuował nowy starosta, ks. Michał Radziwiłł „Rybeńko”. Kościół w stylu barokowym ukończono w r. 1743, ale nadal rozbudowywano gmachy klasztorne i szkolne, z uwagi na znaczny napływ młodzieży.

Pomyślny rozwój Krzemieńca został zahamowany z początkiem lat 70. XVIII w. Wpływ na to miały konfederacja barska, wojny z Rosją, ciężki pomór oraz dokonana przez zaborców w 1773 r. kasata zakonu jezuitów. Budynki kolegium jezuitskiego przejęła Komisja Edukacji Narodowej, potem zrodził się pomysł utworzenia Gimnazjum Wołyńskiego, przemianowanego później na Liceum Wołyńskie. Działały one w latach 1805–32.

Od III rozbioru Polski Krzemieniec znalazł się w zaborze rosyjskim. Po upadku powstania listopadowego rząd carski odebrał katolikom trzy kościoły: licealny, franciszkański i reformacki wraz z zabudowaniami i przekazał je prawosławnym. Katolicy na nabożeństwa gromadzili się pierwotnie w domach prywatnych, a od 1857 r. budowali kościół parafialny, który nigdy nie został zamknięty ani odebrany.

W Krzemieńcu urodził się poeta Juliusz Słowacki (1809–49).

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, Krzemieniec na 20 lat znalazł się w granicach państwa polskiego. W tym czasie dźwignął się gospodarczo, a przede wszystkim oświatowo. W latach 1925–31 działał tu szeroko zakrojony zespół szkół pod nazwą Liceum Krzemienieckiego, oparty ekonomicznie o zwrócone mu majątki ziemskie Liceum Wołyńskiego.

Od 1939 r. Krzemieniec jest znów poza granicami Polski.

Zabytki. Najważniejszymi zabytkami Krzemieńca są dziś: ruiny zamku na Górze Bony, kompleks gmachów pojezuickich i policealnych z barokowym kościołem tzw. licealnym oraz dworek rodziny Juliusza Słowackiego, w którym ma powstać jego muzeum. Ponadto: kościół parafialny pw. św. Stanisława BM z poł. XIX w., z pomnikiem J. Słowackiego z 1909 r. (dłuta Wacława Szymanowskiego); sobór św. Mikoła-

Leszek Wierzejski

NIE TYLKO ŁYCZAKÓW

Zmarli moi, pozostanie przy mnie!

K. Wierzyński

Ten prowokujący tytuł ma uzmysłowić Czytelnikom, że na Kresach Południowo-Wschodnich obok nekropolii lwowskiej, na pewno wspaniałej i wyjątkowej, były jeszcze i inne, też godne pamięci, na których spoczęło wielu zasłużonych dla Polski ludzi, wielu uczestników walk o niepodległość, wielu twórców narodowej kultury i wielu polityków.

Cmentarz stanisławowski przed jego zniszczeniem w roku 1980 krył ich niemało. Założony w roku 1782, był jednym z największych i najstarszych cmentarzy na ziemiach Rzeczypospolitej, starszym od warszawskich Powązek i lwowskiego Łyczakowa. Założono go, gdy zgodnie z nowym obyczajem, jaki przyniósł duch epoki Oświecenia, zaprzestano grzebać zmarłych w podziemiach kościołów lub na przylegających do nich cmentarzach.

W pierwszym stuleciu swojego istnienia Stanisławów miał kilka cmentarzy, które

usytuowano przy kolegiacie łacińskiej, niedaleko kościoła ormiańskiego i na przedmieściu tyśmienickim.

Ten ostatni założono przy kościele św. Józefa, a gdy kościół ten spłonął, władze zlikwidowały cmentarz i założyły nowy bliżej centrum miasta, przy ulicy Tyśmienickiej, nazwanej później Sapieżyńską. Tak powstał główny cmentarz Stanisławowa, na którym przez dwieście lat grzebano chrześcijan wszystkich wyznań. Grzebano mieszkańców miasta i tych, których losy zagnały do Grodu Rewery. W cieniu starych jego drzew spoczęły tysiące Polaków, Ukraińców, zwanych w XIX w. Rusinami, oraz Niemców, którzy w mieście mieli liczną kolonię. Wiele wzniesionych tu grobowców i nagrobków było dziełami sztuki, tworzonymi w piaskowcu, marmurze i granicie. Ostatnim przed II wojną mistrzem sztuki kamieniarskiej, który wznosił na cmentarzu stanisławowskim wiele figur i pomników, był Antoni, mający swój zakład przy ul. Sapieżyńskiej.



Cmentarz w Stanisławowie przed zburzeniem

Do najstarszych, zachowanych do połowy bieżącego stulecia grobów należały dwie mogiły uczestników wojen napoleońskich, **Antoniego Falkowskiego** i **Jana Kopystyńskiego**, zmarłych w tym samym roku 1809, który przyniósł naszemu miastu chwilowe wyzwolenie z austriackiego jarzma.

Potem na cmentarzu stanisławowskim grzebano kolejnych bojowników o niepodległość Polski, tych z powstania listopadowego i styczniowego, jak i tych, co konspirowali w latach spisków galicyjskich przed Wiosną Ludów, i tych, co za Naszą i Waszą wolność walczyli na obcej ziemi. Było ich 74, w większości pochodzących z innych stron Polski, których autonomia Galicji przyciągnęła do Grodu Rewery i w jego murach okazała dożyć ostatnich lat życia.

Wśród powstańców listopadowych przeważali żołnierze korpusu gen. Józefa Dwernickiego, który otoczony na Wołyniu przez przeważające siły rosyjskie wkroczył na teren Galicji i 1 maja 1831 r. złożył broń Austriakom.

Najbardziej znanym i odwiedzanym grobem uczestnika listopadowego zrywu był grób **Maurycego Gosławskiego**, poety i podporucznika Wojska Polskiego w roku 1831.

W okresie rozbiorów, a potem już w niepodległej Polsce, grób ten był jednym z miejsc patriotycznych manifestacji polskiego społeczeństwa i jako jeden z nielicznych ostał się barbarzyńskiej furii, z jaką władze sowieckie zniszczyły cmentarz w roku 1980.

Ziemia stanisławowskiego cmentarza skryła też uczestników rewolucji 1848 i 1849 r. oraz 38 powstańców styczniowych. Niektórzy z nich, jak **Ignacy Kamiński** i **Aleksander Konopacki**, brali udział w obu tych niepodległościowych zrywach.

Do chwili zniszczenia cmentarza można było oglądać piękne pomniki na grobach **Ignacego Kamińskiego** i **Konstantego Łękawskiego**. Z grobów uczestników powstania styczniowego na szczególną uwagę zasługiwały: **Agatona Gillera**, **Juliana Montwiłł-Ejtmontowicza** i **Karola Świdzińskiego**.

Grób Gillera, więźnia trzech zaborców i członka Rządu Narodowego w powstaniu styczniowym, także był przez dziesiątki lat miejscem patriotycznych manifestacji polskiej ludności miasta.

(ciąg dalszy na s. 58)

ja, mieszczący się w obiektach pofranciszkańskich z 1631 r., oraz klasztor i cerkiew bazylikańskie w obiektach poreformackich z 1760 r.

Cmentarze: unicki, z grobem Salomei Becu, matki J. Słowackiego; katolicki z końca XIX w., z grobem Nieznanego Żołnierza oraz pomnikiem, upamiętniającym profesorów Liceum Krzemienieckiego i innych mieszkańców miasta, rozstrzelanych w 1941 r.; piatnicki z XVII w.; bazylikański, z grobami profesorów z XIX w.; żydowski.

Do wojny światowej Krzemieniec słynął z oryginalnej zabudowy dworkami empirowymi i drewnianymi domkami z kolumnenkami i balkonikami, głównie z XIX w. W większości uległy one zniszczeniu w czasie pożaru getta w centrum miasta w 1942 r., a także w latach powojennych. Pozostało kilka dawnych kamieniczek – w jednej z nich mieści się miejscowe muzeum, z izbą pamiątek po J. Słowackim.

Czasy obecne. Niewielkie środowisko polskie lub pólpolskie skupione jest przy parafii rzym.kat., kierowanej obecnie przez ks. Tadeusza Mieleško, oraz w Towarzystwie Odrodzenia Kultury Polskiej im. J. Słowackiego, działającym od 1990 r., skupiającym ok. 100 członków. (D.T.S.)

ŁUCK

Położenie. Stolica woj. wołyńskiego, miasto położone nad Styrem, dopływem Prypeci, na wys. 192 m n.p.m. Leży przy linii kolejowej Lwów–Kijów. Liczba ludności w okresie międzywojennym wynosiła ok. 30 tys., w tym połowę stanowili Żydzi. Łuck był w tym czasie ośrodkiem handlu, a z zakładów przemysłowych posiadał młyny, tartaki, garbarnie, browary, fabrykę wódek i likierów oraz fabrykę maszyn rolniczych.

Historia. Łuck jest jednym z najstarszych miast na Wołyniu, wzmiankowanym po raz pierwszy w 1085 r. W XI–XII w. należał kolejno do księstwa kijowskiego, a następnie włodzimiersko-wołyńskiego i halicko-wołyńskiego. W 1240 r. został spalony przez Tatarów. W XIII w. był stolicą samodzielnego księstwa, zdobytą w 1320 r. przez Gedymina. Niedługo potem, w 1349 r., zajął Łuck czasowo Kazimierz Wielki, uważający się za dziedzica książąt halickich i włodzimierskich. Król oddał następnie miasto Lubartowi pod obowiązkiem holdu lennego. Pod rządami Lubarta Łuck zaczął się szybko rozwijać. Syn Lubarta, Teodor, złożył w 1386 r. przysięgę na wierność Jagielle, lecz Wołyń z Łuckiem pozostał nadal przy Litwie, stając się przedmiotem długiego sporu między Polską i Wielkim Księstwem Litewskim. Od XIII w. Łuck był siedzibą biskupstwa prawo-

SYLWETKI

KSIAŻĘ Z OŁYKI

Kim był książę Janusz Radziwiłł, ordynat ołycki? Potomkiem pierwszej spośród polskich rodzin arystokratycznych? Jednym z najbogatszych magnatów ziemskich i przemysłowych w skali europejskiej? Wybitnym politykiem II Rzeczypospolitej? Dżentelmenem w najlepszym stylu? Był tym wszystkim, ale nie tylko. Przypomnijmy tę niezwykłą postać.

Potomek wielkiego rodu o średniowiecznych korzeniach litewskich, spokrewniony z europejskimi rodzinami cesarskimi i królewskimi, był synem ks. Ferdynanda, po którego śmierci został XIII ordynatem na Ołyce. Jego wołyńskie majątki dopełnił spa-



Zamek w Ołyce. Wieża wjazdowa



dek po krewnym z podwarszawskim Nieborowem – w sumie był właścicielem ponad 40 tysięcy hektarów ziemi. Dochody czerpał ponadto z przedsiębiorstw przemysłowych i spółek finansowych.

Był wykształcony gruntownie: ukończył prawo w Berlinie i leśnictwo w Warszawie. Dzięki wiedzy fachowej, umiejętności zarządzania i gospodarności swoje dobra doprowadził do kwitnącego stanu. Był znanym politykiem konserwatywnym, posłem i senatorem. Istotę swojego rozumienia konserwatyzmu wyłożył jasno:

Konserwatysta jest wrogiem radykalizmu, zarówno prawicowego, jak i lewicowego; jest patriotą, ale nie nacjonalistą; jest zwolennikiem autorytetu i poszanowania prawa, ale jest wrogiem despotyzmu; ceni wolność, ale nienawidzi anarchii; jest religijny, ale unika fanatyzmu; rozumie doniosłość zagadnień gospodarczych, ale nie wpada w przesadny materializm; myśli kategoriami państwa, a nie partii; jest szczególnie wrażliwy na kwestie obrony państwa i polityki zagranicznej.

Książę Janusz Radziwiłł w czasie I wojny niósł pomoc materialną uchodźcom. U progu XX-lecia Polski Odrodzonej współorganizował polską służbę dyplomatyczną. W czasie II wojny wraz z księciem arcybii-

skupem Sapieha, wykorzystując swoje koneksje, doprowadził do uwolnienia większości krakowskich profesorów. W jego warszawskim domu odbywały się spotkania działaczy konspiracyjnych.

Przypomnienie sylwetki J. Radziwiła w tym właśnie numerze specjalnym, poświęconym Wołyniowi i walce, ma takie właśnie przyczyny: był Wołynianinem oraz człowiekiem, który II wojnę światową i lata powojenne przeżył dramatycznie, ale godnie. Stracił oczywiście wszystko, dobra, pałace, zbiory gromadzone przez pokolenia (aby ratować Nieborów przed wojskami sowieckimi, przekazał pałac z cennymi pamiątkami narodowymi warszawskiemu Muzeum Narodowemu, Ołyka całkiem przepadła). To nie wszystko: po zajęciu Polski przez Sowieców Radziwił wraz z grupą polskich arystokratów i rodzinami został aresztowany i wywieziony w głąb Rosji, do Krasnogorska. Trzymano ich tam do 1947 r. (tam zmarła jego żona), a także potem, w Polsce, byli nadzorowani przez UB. Aż do śmierci w 1967 r. żył w Warszawie skromnie i odmawiał wyjazdu na stałe za granicę, choć miał gdzie się udać: jego syn Stanisław Radziwił był wszak szwagrem prezydenta Kennedy'ego, politykiem emigracyjnym i biznesmenem, córka (Potocka) mieszkała w Madrycie.

Jednak pozostał w Polsce. Był tu u siebie, blisko Wołynia i Nieborowa.

Z BRONOWIC, PRZEZ OBRONĘ LWOWA, DO CHODOROWA

Kopię odręcznie napisanego życiorysu 25-letniego (urodzonego w następnym roku po WESELU swych rodziców) syna poety Lucjana Rydla otrzymaliśmy od jednego z Czytelników. Skontaktowaliśmy się również z synem autora (a wnukiem poety), zamieszkałym w Solcu Kujawskim (notka biograficzna autora po życiorysie). W tekście zachowaliśmy oryginalną pisownię.

slawnego, a od pocz. XV w. także biskupstwa rzym.katolickiego. Wybudowana została w tym czasie pierwsza drewniana katedra pw. Trójcy św. W 1429 r. z inicjatywy Witolda odbył się w Łucku wielki zjazd, w którym oprócz Jagielly, cesarza Zygmunta Luksemburczyka, króla duńskiego Eryka, w. księcia moskiewskiego Wasyla, udział wzięli liczni dostojnicy polscy i litewscy. Przedmiotem zjazdu była sprawa korony królewskiej Litwy dla Witolda, na co strona polska się nie zgodziła. W 1432 r. Jagiello nadał Łuckowi miejskie prawo magdeburskie, zezwalając, by miasto rządziło się jak Kraków i Lwów. Pod koniec XV w. musiał Łuck ulec zniszczeniu, bo w 1497 r. w. książę Aleksander występując jako jego nowy założyciel, nadając ponownie prawo magdeburskie i przywileje.

Po unii lubelskiej przyłączony do Korony, w 1569 r. stał się na dwa wieki stolicą województwa wołyńskiego i miejscem sejmików szlacheckich. Był to dla Łucka okres rozwoju handlu i rzemiosła oraz wzrostu zamożności mieszkańców. Łuck był od XIII w. dużym skupiskiem ludności żydowskiej i miał największą gminę żydowską na Wołyniu. W doświadczeniu do pełnego rozkwitu przeszkodziły miastu częste napady tatarskie i kozackie, a także liczne pożary. Ważnym dla kultury Łucka wydarzeniem było sprowadzenie na pocz. XVII w. przez bpa Marcina Szyszkowskiego jezuitów, którzy wybudowali tu gmach kolegium, a przy nim kościół konsekrowany w 1639 r.

Na rozległych równinach pod Łuckiem w r. 1617 Władysław IV dokonał przeglądu wojsk zdążających na wyprawę moskiewską. Na arenie dziejów Polski znowu pojawił się Łuck po śmierci Augusta II, gdy wraz z całym województwem wołyńskim poparł w 1733 r. elekcję Stanisława Leszczyńskiego. Był to już okres powolnego upadku miasta, co stwierdza ilustracja z 1765 r. Prosperowały tylko liczne w Łucku klasztory: brygidek, bernardynów, karmelitów, bonifratrów i trynitarzy.

Po III rozbiore Polski Łuck znalazł się w zarborze rosyjskim i został zepchnięty do roli zwykłego miasta powiatowego. W 1870 r. został ufortyfikowany. Podczas I wojny światowej w 1916 r. był widownią zacieklej walk rosyjsko-austriackich (wojska rosyjskie pod wodzą gen. Brusilowa przerwały tu front austriacki).

Zabytki. Kościół katedralny pw. św. Piotra i Pawła, pierwotnie jezuicki, w stylu późnego renesansu, trójnawowy na planie krzyża łacińskiego, z kopułą na przecięciu ramion i fasadą dwuwieżową. Gdy w 1781 r. sponęła katedra św. Trójcy, zamieniony został na katedrę rzym.kat. Zamknięty w 1958 r. (ostatnim proboszczem był

Curriculum vitae

Urodziłem się dnia 8 listopada 1901 r. w Bronowicach Wielkich powiat Kraków. Rodzice: śp. Dr Lucjan Rydel literat i profesor Akademii Sztuk Pięknych i Jadwiga z Mikołajczyków. Szkołę powszechną ukończyłem w Toniach pod Krakowem; poczem zostałem przyjęty w roku 1911 do Gimnazjum III im. Sobieskiego w Krakowie. Od roku 1916–1918. jako uczeń VI, VII i VIII klasy gimn. uczęszczałem do oddziału przysposobienia wojskowego, będącego pod kierownictwem kpt. Turowskiego. W r. 1917 (lipiec, sierpień) ukończyłem dwumiesięczny kurs instruktorski i pełniłem obowiązki instruktora w wyżej wymienionym Oddziale. W pierwszych dniach listopada 1918 r. oddział nasz pod dowództwem kpt. Turowskiego został użyty do rozbrajania wojsk austriackich i do służby wewnętrznej w garnizonie krakowskim. Rozkazem Komendy Miasta Krakowa zostałem mianowany sierżantem (z dniem 4 listopada 1918 r.). Na własną prośbę jako ochotnik zostałem wcielony dnia 6 listopada 1918 r. do oddziału marszowego 3 p.a.p. I bat. (d-ca por. Cybulski), jako kanonier. Po przebyciu grypy i zapalenia płucnej wcielono mnie następnie do 3 baterji 3 p.a.p. z początkiem grudnia 1918 r. Oficerowie baterji: d-ca por. Łodziński, por. Epler, ppor. Walenty Wesółowski, ppor. Stefan Engel.

Z baterją odszedłem na Śląsk Cieszyński, a z końcem grudnia 1918 r. na front ukraiński. W kampanji ukraińskiej brałem udział w bitwach pod Rawą Ruską (7 I 1919 r.), Żółkwią, Kulikowem i innych, następnie w obronie Lwowa na odcinkach: Kulparków (13 I 1919), Skniłów–Zimna Woda, Kozice, Domażyr. W maju 1919 r. otrzymałem urlop, w czasie którego złożyłem egzamin dojrzałości w dniu [brak daty dziennej] czerwca 1919 r., poczem powróciłem do baterji i brałem udział w bitwach 3 dywizji leg.: Kozowa-Denisów, Brzeżany, w odwrocie i w ofensywie po Zbrucz, Skala Satanów. Z końcem sierpnia 1919 r. dywizja została przeniesiona na front bolszewicki. We wrześniu 1919 r. z powodu złego stanu zdrowia odkomenderowany zostałem z 3 baterji z pozycji nad Dźwiną (Drują) do I dyonu 3 p.a.p. do Prowiantury i Kolumny Amunicyjnej (d-ca por. Sikora) w Braławiu. Z końcem września 1919 r.

odszedłem do szpitala w Wilnie, następnie w Łomży spowodu zapalenia płuc. Jako rekonwalescent odesłany zostałem w październiku 1919 r. do Baterji zapasowej 3 p.a.p. w Lublinie. Dnia 13 stycznia 1920 r. odroczone mi służbę wojskową celem kontynuowania studjów uniwersyteckich. W czasie mojej służby frontowej w 3 baterji przez 9 miesięcy pełniłem służbę telefonisty, obsługa dział, wywiadowca.

Po pięciu miesiącach studjów na Wydziale Rolniczym Uniwersytetu Jag. zgłosiłem się ponownie jako ochotnik do służby wojskowej w dniu 24 lipca 1920. Odkomenderowany zostałem z Obozu Ochotn. Rembertów do Szkoły Podchorążych Artylerji Poznań-Sołacz 1 sierpnia 1920 r. na kurs oficerów rezerwy, przydzielony do Grupy III (d-ca por. szt. gen. Kadij) klasy VII (d-ca por. Woźniakowski, instruktor pchor. Węgrzyn). W Szkole Podchorążych Artylerji zostałem mianowany plutonowym w listopadzie 1920 r. Na swoją prośbę otrzymałem odroczenie służby wojskowej dla kontynuowania studjów uniwersyteckich w dniu 13 listopada 1920 r. Do rezerwy zostałem przeniesiony 26 X 1925 r. z zaliczeniem 17 miesięcy służby wojskowej.

Studja rolnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim ukończyłem 1 kwietnia 1924 r., na podstawie złożenia trzech egzaminów promocyjnych i IV końcowego egzaminu otrzymałem dyplom inżyniera rolnictwa dnia 14 lipca 1926 r. Od kwietnia 1925 r. objąłem stałe stanowisko kontrolora Dóbr Tow. Akc. „Chodorów” dla przemysłu cukrowniczego w Chodorowie, gdzie stale zamieszkuje.

Chodorów dnia 1 lipca 1926 r.
Inż. Lucjan Rydel

Syn autora życiorysu, inż. Jan Rydel, zamieszkały w Solcu Kujawskim, podał nam telefonicznie dalsze losy swego ojca: *Inż. Lucjan Rydel mieszkał do 1938 r. wraz z rodziną w Chodorowie – ostatnio był tam dyrektorem majątków należących do Cukrowni. Przed samą wojną objął posesadę w Cukrowni Chybia (na Śląsku Cieszyńskim). Z wybuchem wojny znalazł się z rodziną we Lwowie, ale w 1940 r. przeszedł na stronę GG. W 1945 r. wrócił do Chybia, a od 1946 r. był dyrektorem liceum na Śląsku. Zmarł w 1957 r., pochowany na cmentarzu w Bronowicach Wielkich.*

Z TAMTEJ STRONY

W RÓWNEM

Na terenie przykościelnym odbyła się uroczystość odsłonięcia trzech tablic pamiątkowych. Aktu poświęcenia dokonał ordynariusz łucki ks.bp. Marcján Trofimiak w asyście dziekana i proboszcza w Równem ks. Władysława Czajki oraz księży z okolicznych parafii. Na dwóch pierwszych tablicach z czarnego marmuru, umieszczonych na kamiennej ścianie i ozdobionych płaskorzeźbami MB Katyńskiej i MB Koziełskiej, czytamy (po polsku i ukraińsku):

Pamięci oficerów Wojska Polskiego, duchownych, policjantów i pozostałych jeńców z Wołynia, zamordowanych przez NKWD wiosną 1940 r. w Katyniu, Miednoje, Charkowie i innych miejscach kaźni. Matko Boża Katyńska, módl się za nich.

Pamięci 1864 więźniów, w tym wielu Polaków, rozstrzelanych przez gestapo w Równem 18 listopada 1943 roku oraz wszystkich męczenników Wołynia i Polesia, zwłaszcza ofiar gułagów Wschodu. Matko Boża Koziełska, módl się za nich.

Trzecia tablica ma napis ukraiński, co w tłumaczeniu brzmi:

Pamięci mieszkańców Rówieńszczyzny, którzy padli ofiarą katastrofy w Czarnobylu, z okazji 12. rocznicy tragedii na CASE. Matko Boska Poczajowska, módl się za nami.

Modlitwa za odpuszczenie win tym, którzy zawinili, procesja i uroczysta Msza św. w tej intencji ukoronowały tę niezwykłą uroczystość. (T.K.-D.)

TEGO ROKU W ZADWÓRZU

Z okazji 80. rocznicy bitwy pod Zadwórzem odbyła się – u stóp tamtejszego pomnika – uroczystość, na którą licznie przybyli Polacy łwowski i z RP, konsulowie W. Dębicki i W. Krasowski, a także generał ukraiński Ludwik Kobierski (deklarujący się jako Polak i rzymski katolik). Mszę św. odprawił kapelan TMLiKPW ks. Janusz Popławski, przybyły

ks. Wł. Bukowiński) i przeznaczony na magazyny. W 1970 r. kościół przejęty został przez okręgowe muzeum krajoznawcze, które po remoncie urządziło w nim muzeum ateizmu. Gmach dawnego kolegium jezuickiego z pocz. XVII w.

Kościół i klasztor bernardynów (1725–56), fundowane przez ks. Karola Radziwiłła na miejsce pierwszego, drewnianego kościoła. W 1853 r. po zamknięciu klasztoru przebudowany na cerkiew katedralną. Resztki budynku klasztorowego, ocalałe po pożarze w 1845 r., zamieniono na więzienie. Budynki klasztorne przy nieistniejących kościołach: brygidek (odbudowany po pożarze w latach 1808–22), siostr miłosierdzia (szarytek, urządzony w 1. poł. XIX w. w części zabudowań kapitulnych z XVIII w.).

Dwie cerkwie gr.kat. z XVII w.

Pozostałości zamku górnego: mury obronne, 3 baszty (XIII–XVI w.), tzw. dom szlachecki (XVIII w.) i tzw. dom biskupi (XVII w.). Pozostałości zamku dolnego: baszta Czartoryskich (XVII–XVIII w.), synagoga obronna, tzw. mały zamek (1. poł. XV w.). Kamienice mieszczkańskie (XVI–XVIII w.)

Sytuacja obecna. Po długich staraniach o rejestrację parafii rzym.kat. w 1990 r. udostępniona została wiernym jedna z kaplic katedralnych przy wciąż czynnym muzeum ateizmu. W 1991 r. katedra została oddana do kultu, jej proboszczem został ks.prałat Ludwik Kamilewski. W 1998 r. odbył się ingres nowo mianowanego ordynariusza wskrzeszonej diecezji łuckiej, bpa Marcjana Trofimiaka. W Łucku działa od 1991 r. Towarzystwo Kultury Polskiej na Wołyniu im. Ewy Felińskiej, skupiające ok.380 członków.

(M.T.)

OSTRÓG

Położenie. Miasteczko w powiecie zdołbunowskim, woj. wołyńskim, usytuowane przy ujściu Wilii [nie mylić z Wilią wileńską] do Horynia, 10 km od linii kolejowej Zdołbunów–Sławuta. W okresie międzywojennym liczył ponad 13 tys. mieszkańców, wśród których większość stanowili Żydzi. Była tu elektrownia, pracowały młyny, tartaki, garbarnie, fabryka śwec.

Historia. Pierwsza wzmianka o Ostrogu pochodzi z r. 1100, kiedy to książęta ruscy dali go wraz z innymi dobrami Dawidowi, wnukowi Jarosława Mądrego, w zamian za zabrane mu księstwo włodzimierskie. Po śmierci Dawida Ostróg przeszedł na Jarosława Światopełkowicza, syna księcia kijowskiego. W XIV w. był przedmiotem walk polsko-litewskich i ostatecznie został włączony do Wielkiego Księstwa Litewskiego.

W drodze do Zadwórze – na cmentarzu w Busku. Na warcie honorowej harcerka z Mościsk Pelczarówna. W głębi p. Marek Bochdan, spadkobierca dóbr zadwórzeńskich.



z Warszawy, w asyście o. Władysława Lizuna, proboszcza parafii św. Antoniego we Lwowie, oraz księdza proboszcza z Buska.

Ks. Janusz wygłosił kazanie, w którym przedstawił znaczenie *Polskich Termopil* dla naszej historii XX wieku. Po mszy składano wieńce i wianki pod Pomnikiem Poległych. Wartę honorową trzymały harcerki z Mościsk i harcerze ze Lwowa. Wcześniej zatrzymaliśmy się w Busku, gdzie na tamtejszym cmentarzu odmówiono modlitwy pod pomnikiem na kwaterze poległych z 1920 r.

Na marginesie trzeba ze smutkiem odnotować, że prasa krajowa omawiając szeroko tegoroczną 80. rocznicę *Cudu nad Wisłą* całkowicie pominęła walki na przedpolu Lwowa i ich znaczenie dla zwyczajstwa nad najeźdźcami. W „Rzeczpospolitej” ukazał się artykuł (niepodpisany) pt. *Gimnazjaliści w okopach*, w którym ani słowa o ponad 300 gimnazjalistach i studentach lwowskich, którzy w okolicznościach szczególnie okrutnych oddali młode życie pod Zadwórzem. Jedynie w „Niedzieli” (33/2000) o. Hieronim Warachim poświęcił artykuł temu wydarzeniu.

Powstaje pytanie: ignorancja w nowym pokoleniu historyków i publicystów czy warszawska niechęć do dzielenia się sukcesami i zasługami (nawet w tak tragicznym wydaniu)? Bo chyba nie może chodzić o *polityczną poprawność*, przecież nie ma powodu do pomijania walk toczonych poza granicami III RP (choć nie Polski). Nie ukrywa się wszak Chocimia, Somosierry czy Monte Cassino. Dlaczego więc akurat Zadwórze?

Andrzej Chlipalski

Wydarzenia

◆ W sierpniu prasa polska była pełna doniesień i komentarzy na temat kolejnych wydarzeń wokół Cmentarza Orłąt. Na początku sierpnia podpisano w Warszawie porozumienie w sprawie dalszych prac przy obiektach cmentarza. Przedstawiciele państwa Ukraina (z wiceministrem na czele!)

zgodzili się na uzupełnienie katakumb o gzymsy i płaskorzeźby aniołów oraz budowę pomników lotników amerykańskich i piechurów francuskich, na pozostawienie historycznych nazw bitew na pylonach.

Ale w parę dni później osławiony *dyrektor cmentarza-muzeum* Hawryszkiewicz (tuba *mera* Lwowa Kujbidy, którego jest szwagrem) oświadczył, że Kijów nie ma nic do gadania w tych sprawach, a administracja lwowska się nie zgodza.

Abstrahując od sprawy Cmentarza Orłąt – jak może funkcjonować państwo, w którym panują podobne obyczaje?

Na marginesie: *mer* Kujbida otrzymał wysokie odznaczenie watykańskie, związane niewątpliwie z przysłą wizytą Papieża m.in. we Lwowie. Czy jednak *cel uświęca środki*? W polityce świeckiej może tak, choć to zawsze obrzydliwe, ale w Kościele?

W Krakowie i dalej

Notatki

◆ W Kościele Patronalno-Garnizonowym Żołnierzy Armii Krajowej Polskich Kresów Wschodnich pw. św. Jadwigi Królowej w Krakowie na Krowodrzy odsonięto z końcem września kolejną tablicę – pamięci Żołnierzy AK, Bch i Oddziałów Samoobrony oraz ofiar zbrodni ludobójstwa, dokonanych na Polakach przez OUN-UPA w latach 1942–46.

ANTYPODY

◆ Niemieccy chadecy z CDU/CSU wydali oświadczenie, w którym wezwali ponownie Polskę i Czechy do uznania wypędzenia Niemców po II wojnie światowej za **bezprawie** i unieważnienie przepisów, dotyczących wysiedlenia i wywłaszczenia niemieckiej ludności. Chodzi im o moralne i prawne, a nie materialne zadośćuczynienie (czy na pewno?).

A my? Mamy przecież podobny problem po wschodniej stronie. A za naszą **wielkoduszość** wcale nas nie szanują, wystarczy poczytać gazety.

KULTURA NAUKA

ROK REYMONTOWSKI W RÓWNEM

W Równem na Wołyniu zorganizowano we wrześniu uroczyste obchody 75. rocznicy śmierci Władysława Reymonta. Organizatorami byli Towarzystwo Kultury Polskiej w Równem i tamtejszy Miejski Wydział Kultury, sponsorami zaś Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”, Towarzystwo Współpracy „Polska-Wschód” i Samorząd Województwa Mazowieckiego.

Jeszcze przed właściwym otwarciem obchodów pokazano filmy *Chłopi* i *Komediantka*, na które przybył reżyser Bogdan Poręba. Filmy przyjęto ciepło, a reżyser ciekawie opowiadał o innych jeszcze filmach reymontowskich. Następnie odbył się konkurs recytatorski polskiej poezji, w którym udział brały dzieci i młodzież w wieku 8–22 lat z Równego, Zdobunowa, Dubna i Ostroga.

Uroczyste otwarcie Dni Kultury Polskiej poświęconych W. Reymontowi odbyło się 8 września w Miejskim Pałacu Młodzieży. Przybyło liczne grono gości z RP: senator T. Kopacz z Senackiej Komisji Spraw Polaków za Granicą, T. Samborski, przewodniczący Komitetu Organizacyjnego Obchodów Roku Reymontowskiego, Jacek Grabiński, dyrektor „Wspólnoty Polskiej” w Siedlcach oraz wielu innych miłych gości. Przybyli też przedstawiciele miejscowych władz. Obecny był również ks. W. Czajka, proboszcz kościoła św. św. Piotra i Pawła w Równem.

Po otwarciu uroczystości przez prezesa TKP w Równem Janinę Dołgich oraz przemówieniach gości i prezesa FOPnU Emilii Chmielowej odbył się koncert, w którym udział wzięli soliści i zespoły z Równego i z RP. Pięknie brzmiały pieśni religijne i patriotyczne w wykonaniu chóru parafialnego „Sursum corda” (kierownik Irena Zaleska) z Równego, zespołu „Lutnia” ze Zdobunowa, zespołu „Laudate Dominum” z Równego. Występowali też soliści z tych zespołów, wykonując pieśni ludowe, mło-

ks. Lubart Gedyminowicz nadał Ostróg Danielowi Wasylkowiczowi z linii słonimsko-nowogrodzkiej Rurykowiczów, protoplaście rodu Ostrogskich. Nadanie potwierdzili synowi Daniela, Fiodorowi, Władysław Jagiełło, królowa Jadwiga oraz ks. Witold.

Fiodor (Teodor), trwając przy prawosławiu, sprzyjał Kościołowi łacińskiemu. Sprowadził do Ostroga dominikanów, przekazując im jedną z miejscowych cerkwi. Jego syn, Wasyl Ostrogski, postawił murowany zamek w miejsce pierwszego drewnianego oraz pierwszą drewnianą cerkiew zamkową. Jego dwaj synowie podzielili się ojcowizną w ten sposób, że Iwan pozostał przy Ostrogu, kontynuując linię Ostrogskich, Jerzy zaś osiadł w Zaslawiu i dał początek rodowi ks. Zaslawskich. Na pocz. XVI w. Konstanty Ostrogski w miejsce drewnianej ufundował okazałą pięciokopułową cerkiew murowaną z cegły.

Od początku XIV w. Ostróg stanowił skupisko ludności żydowskiej, która trudniła się głównie handlem zbożem i innymi towarami. W pierwszych latach XVI w. Konstanty osadził tam jeńców tatarskich, którzy stanowili milicję zamkową i mieli swój meczet.

Prawa miejskie otrzymał Ostróg w r. 1528. W 1553 r. rozegrały się na zamku dramatyczne wydarzenia, niejednokrotnie wykorzystywane jako motyw literacki: Dawid Sanguszko, najechawszy zamek, zawarł ślub z 12-letnią Halszką z Ostroga (Ostrogską, później Górkową) i uwiózł ją do Kaniowa.

Okres największej świetności przeżył Ostróg na przeł. XVI/XVII w. pod rządami Wasyla Konstantego Ostrogskiego. Położył on dwie zasługi dla rozwoju kultury na tych ziemiach: założył w Ostrogu szkołę grecko-łacińską, zwaną akademią, i drukarnię, z której wyszło pierwsze wydanie całej Biblii w języku staro-cerkiewno-słowiańskim, nazwane Biblią Ostrogską. Drukarnię kierował Iwan Fiodorow, który przez pewien czas działał we Lwowie.

Syn Wasyla Konstantego, Janusz, przeszedł już na katolicyzm. W 1609 r. uzyskał zgodę Sejmu na założenie ordynacji, w skład której wchodził Ostróg. Akademia została przekształcona w 1624 r. w kolegium jezuickie z konwiktem dla ubogiej młodzieży szlacheckiej. Bogato uposażone przez Annę Marię z Ostrogskich Chodkiewiczową (mogło utrzymać 50 jezuitów, 20 konwiktów i bursę muzyków), istniało ono do rozbiorów, a następnie, po zniesieniu jezuitów przez rząd carski, zostało zamienione w szkoły podwydziałowe i powierzone bazylianom. Wkrótce jednak szkoły zamknięto za udział uczniów w powstaniu kościuszkowskim. Budowniczym gma-

dzieżowe i patriotyczne – m.in. Ela i Ania Hrycenko, Maksym Fiodorow oraz Ola Manujlak z 10 klasy, która również komponuje piosenki.

Z gorącym aplauzem przyjęto występ solistki Teatru Wielkiego z Warszawy, Jadwigi Teresy Stępień, która swym ciepłym, o głębokim brzmieniu głosem wykonała pieśni Chopina, Karpińskiego, Niewiadomskiego. Bardzo ciepło przyjęła publiczność występ Teatru Młodzieżowego „Chodowiaczy” z Siedlec, których piosenki i żywiołowe tańce porwały słuchaczy.

Następnego dnia odbyła się autokarowa wycieczka po mieście, zwiedzano zabytki i nowoczesne dzielnice. Przedstawiciele FOPnU i goście z RP złożyli wizytę w siedzibie miejscowego TKP. Podziwiano dobrze urządzone pomieszczenia, które służą nie tylko jako biuro. Jedna salka przeznaczona jest dla prób zespołu tanecznego, a mieści się w niej również biblioteka, z której korzystają nie tylko Polacy. Jest również klasa do nauki języka polskiego. Działalność polskiego Towarzystwa wspiera „Wspólnota Polska” z Warszawy. Na szczególną uwagę zasługuje organizacyjny talent i zaangażowanie pani prezes J. Dołgich, a dobra współpraca z miejscowymi władzami przyczynia się do rozwoju TKP.

Wieczorem dla uczestników uroczystości zorganizowano za miastem ognisko. Bawiono się wesoło, tańczono i śpiewano do późnego wieczora.

W niedzielę 10 IX odbyła się msza św. w kościele parafialnym, podczas której wzruszające kazanie wygłosił ks. proboszcz Czajka. Po południu w parku zorganizowano dla dzieci konkurs rysunków na asfalcie z licznymi nagrodami dla zwycięzców.

Wieczorem na zakończenie Dni Kultury Polskiej odbył się koncert galowy, na którym oprócz ww. zespołów wystąpiły również: wokalny-taneczny zespół „Bene” z Warszawy, chór „Echo” i zespół „Wesoły Lwów” ze Lwowa oraz chór dziewczęcy „Tęcza” z Gródka Podolskiego.

Wszechstronny i bogaty program uroczystości z pewnością pozostanie w pamięci mieszkańców Równego i gości i niewątpliwie pozostawi miłe wspomnienie o tym niewielkim, ale ciekawym kresowym mieście.

Krystyna Angielska (Lwów)

Kronika

◆ Przemysł jest znany ze swej szerokiej i owocnej pomocy w dziedzinie kultury dla Polaków zza wschodniego kordonu. Do osób, których zasługi są nie do przecenienia, należą państwo Mariusz i Urszula Olbromscy. Pani Urszula jest organizatorką wielu imprez, do których należą coroczne plenery dla plastyków.

W lipcu '99 odbyły się VI Międzynarodowe Warsztaty Kulturalno-Artystyczne w Krzemieńcu, urządzone tam z okazji Roku Słowackiego, pod tytułem **Tam, gdzie lkwę srebrne fale płyną**. W imprezie tej wzięli udział m.in. Polacy: Jurianna Jur (ur. 1978) z Jaworowa, obecnie studiująca rzeźbę na krakowskiej ASP; Tamara Poliszczuk (1977) z Kijowa; Helena Jacyno-Piaskowska (1964) ze Lwowa; Krystyna Grzegocka (1969) ze Lwowa; Mikołaj Semeniak (1955) z Kołomyi; Jerzy Ostafijczuk (1969) z Nadwórnej; Jerzy Sowiński (1965), zam. w Gajsinie; Jarosław Sosnowski (1974) ze Lwowa; Marta Łaba-Andruszko (1967) – uczy w szkole im. Konopnickiej we Lwowie; Walery Bortiakow (1941), Rosjanin duszą oddany Polskiemu Teatrowi Ludowemu we Lwowie.

◆ Pisarz holenderski **Milo Anstedt** otrzymał nagrodę im. A. Drawicza za przedstawienie Holendrom w sposób obiektywny i życzliwy wizerunku i historii narodu i państwa polskiego oraz stosunków polsko-żydowskich. Anstedt jest bowiem Żydem, urodzonym we Lwowie w r. 1920. Wśród kilku jego książek, jedna: *Kind in Polen* opisuje dzieciństwo autora w polskim Lwowie. Od lat dziecięcych czuł się Polakiem, a sentyment do Lwowa przebija w jego książkach. Był tam w latach 60. i nakręcił o nim film dla holenderskiej telewizji.

„Przekrój” 25/2000 opublikował fragment książki Anstedta, zatytułowany *Dzieciństwo we Lwowie*. Książka jest już przetłumaczona i niebawem ma się ukazać w druku.



Juriana Jur: „Miejська tęcza”

Książki czasopisma

Nowe książki

Wielka była cena, jaką płacili Polacy za patriotyzm wyrażany czynem. Tak było w wieku XIX, a w XX doszła jeszcze odpowiedzialność za samą polskość – wystarczyło być Polakiem, by zasłużyć na poniżenie, prześladowanie, deportację, osadzenie w lagrach i łagrach, katorgę. Tak się jednak w naszej historii składa, że większość tragedii osobistych i rodzinnych – w sumie wszak narodowych – wiązała się z Rosją, carską czy sowiecką – im dalej tym gorzej.

Nie dziw więc, że przeżywamy niezwykle urodzaj na wspomnienia ludzi, których owe dramatyczne przeżycia dotknęły osobście. Staramy się je odnotowywać skrzętnie, a w ostatnich numerach drukowaliśmy nawet opowieść ówczesnej dziewczynki, jednej z dziesiątków tysięcy dzieci wywiezionych na nieludzką ziemię, szczęśliwie ocalałej, która już jako dorosła spisała swoją historię.

Niedawno napotkaliśmy znowu na całą serię książek autorów związanych ze Lwowem i Małopolską Wschodnią, a dotyczących dramatów II wojny. Pierwsza to:

 Wspomnienia **Mirosława Wigierskiego** pt. **Ze Lwowa na Kołymę** (Wydawnictwo „Nortom”, Wrocław 1998). Autor, rodem spod Lwowa (1911–91), był w 1939 r. studentem prawa na UJK, a po wejściu Sowieców, usiłując zbiec na Węgry, dostał się na rok do więzienia. Za Niemców działał w Ruchu Oporu we Lwowie, ale zrewanżowali mu się za to dopiero Sowieci: 10 lat spędził na zsyłce kolejno nad Kamą, potem w Chabarowskim Kraju, w końcu na Kołymie. Wrócił w 1955 r., osiadł we Wrocławiu.

Wspomnienia Wigierskiego czyta się z wyjątkowym zainteresowaniem, ponieważ ich dramatyczna treść przeplatana jest ciekawymi i ważnymi dla zrozumienia sytuacji opisami tła przyrodniczego, politycznego, sylwetkami ludzi (z obu stron bariery, na-

chu kolegium i kościoła jezuitów był sprowadzony z Rzymu architekt Benedykt Moll).

W 1648 r. Kozacy spalili Ostróg i od tego czasu datuje się jego powolny upadek. Po śmierci ks. Janusza ordynacja przeszła na ks. Zasławskich (część po Chodkiewiczowej odziedziczył St. Jabłonowski), ale nowi właściciele nie mieszkali już w Ostrogu, zamek zaczął popadać w ruinę. Po wygaśnięciu Zasławskich dostał się Ostróg Lubomirskim, potem Sanguszkom, a ostatni ordynat ks. Janusz Sanguszko w 1753 r. rozdzielił dobrą ordynacji. Połowa Ostroga wraz z 36 wsiami przypadła Małachowski. W 1793 r. Stanisław Małachowski sprzedał swoją część Tadeuszowi Czackiemu, którego majątek został w dwa lata później skonfiskowany, lecz zwrócony w r. 1796. Czacki jednak w 1801 r. odsprzedał swoją część miasta ks. Dymitrowi Jabłonowskiemu. Jego syn Karol wybudował obszerny dwór, gdyż zamek nie nadawał się już do zamieszkania. Ostróg stał się wtedy na nowo wielkoparską rezydencją. Jej ostatnim dziedzicem był psychicznie chory wnuk Karola, Artur. Żle administrowany majątek uległ wtedy zadłużeniu i został sprzedany Rosjaninowi, sekretarzowi stanu Tanjewowi, który wywiózł do Petersburga z dworu Jabłonowskich wszystkie dzieła sztuki i cenne przedmioty, a następnie odsprzedał Ostróg rządowi.

Zabytki. Kościół pw. Wniebowzięcia MB, początkami sięgający XV w., kilkakrotnie w ciągu wieków niszczony przez pożary, po raz ostatni w 1897 r. i odbudowany wówczas przez ks. Romana Sanguszkę w stylu klasycystycznym, obsługiwany następnie przez oo. kapucynów. Znajdował się w nim, uważany za cudowny, rzeźbiony krucyfiks z XVII w., przeniesiony w 1944 r. do klasztoru kapucynów w Krakowie. Kościół zamknięto w 1946 r., ale na nowo otwarto w 1948 dzięki staraniom Polaków powracających z Kaczachstanu. W latach 1949–55 dojeżdżał tu o. Serafin Kaszuba, zwany apostołem Wołynia. W 1960 r. kościół został ponownie zamknięty i zamieniony na halę sportową.

Fragmety zamku (XV, XVI w.) w postaci kwadratowego piętrowego skrzydła, podpartego od strony zewnętrznej skarpami, z gotyckim portalem oraz okrągłą basztą, zwieńczoną renesansową attyką. Do zespołu zamkowego należała znajdująca się w stanie ruiny cerkiew Bohojawleńska, wzniesiona w 1421 r. na planie krzyża greckiego, zwieńczona pięcioma kopułami.

Fragmety murów miejskich z basztą Tatarską i bramą Łucką (XV, XVI w.). Nie zachowały

wet anegdotą. Istotne dla odbioru treści – książka jest napisana nie po amatorsku, lecz literacko sprawnie, co nieczęsto się zdarza (to nie zarzut wobec innych autorów!).

Książka dostępna w wydawnictwie we Wrocławiu.

 Czystka etniczna na polskich Ziemiach Wschodnich dokonana się w kilku etapach i na kilka sposobów. Rozpoczęli ją Sowietci niezwłocznie po zajęciu tych ziem, wywożąc setki tysięcy ludzi, całymi rodzinami lub pojedynczo. Nie spodziewali się zresztą, że czynią to nie na korzyść swojego sojuza, lecz dla nowych tworów państwowych, które powstaną w pół wieku później. Inną korzyścią, wynikającą z deportacji – obok *oczyszczenia terenu* – miało być zaludnienie pustych obszarów lub wymieszanie i pogniębienie niebezpiecznych żywiołów ludzkich. I to nie całkiem się udało, bo na skutek rozmaitych historycznych wydarzeń Polacy, z Polski wywiezieni, pierwsi opuścili *nieludzką ziemię* – z armią Andersa albo zaraz po wojnie. Niestety dotąd czekają na powrót do Europy zabrani z Ukrainy w latach trzydziestych.

W tym przeliczeniu mas ludzkich rozegrały się najróżniejsze ludzkie dramaty, zakończone mniej lub bardziej szczęśliwie dla tych ludzi, ale na pewno nieszczęśliwie dla Polski. Kraj stracił rzeszę wartościowych obywateli, którzy jeśli nawet przeżyli – do Polski w dużej części nie wrócili, i jeśli nie sami, to po następnym pokoleniu wtopili się w inne społeczeństwa.

Do takich należy **Elżbieta Petryk-Głowacka**, autorka jednej z coraz liczniejszych opowieści wspomnieniowych: ***Kalejdoskop życia*** (Gliwice 1993). Autorka jest stryjanką (ur. 1915), która została wywieziona ze Złoczowa w pamiętnym kwietniu 1940 roku do Kazachstanu. Udało się jej jednak uciec do armii Andersa. Z nią, jako sanitariuszka, przez Bliski Wschód dotarła do Włoch, pracując w polowym szpitalu w czasie kampanii włoskiej i bitwy pod Monte Cassino. Szczęśliwym trafem odnalazła swego męża (poślubionego przed samą wojną) i razem osiedli w Anglii. Ich wnuki nie są już Polakami. No, cóż...

Dużą część książki E. Petryk-Głowackiej zajmują jej wiersze pisane na *nieludzkiej ziemi*, w etapach podróży *ku wolności* i w Anglii.

 W poprzednim numerze omawialiśmy książkę J. Juzwy o zagładzie Czerwonogrodu i sąsiedniego Nyrkowa w 1944 r. Z tego samego Nyrkowa pochodzi **Kasper Kazimierz Karasowski** (ur. 1929), który swoje dramatyczne losy wojenne zawarł w książce o prostym tytule ***Wspomnienia z zesłania*** (Wydawnictwo „Antyk”, Kęty 1998). W podtytule dodaje: *Szesnaście lat z Podola ponad osiem lat w szponach Gułagu. Charków, Ural i Kołyma*.

Autor brał udział w organizacji „Samoobrona” w Czerwonogrodzie w 1944 r. Po powrocie bolszewików został w 1945 r. wcielony do batalionu NKWD do walki z banderowcami, co jednak nie uchroniło go przed aresztowaniem i wywiezieniem na *nieludzką ziemię*.

Książka Karasowskiego pełna jest niezwykłych relacji z dramatycznych sytuacji, przygód, spotkań, o niewiarygodnej rozpiętości – od śmiertelnego niebezpieczeństwa po momenty luzu wśród towarzyszy niedoli. I o życiu wśród ludzi – od skrajnego okrucieństwa, poprzez upodlenie i bezmiar nieszczęścia, po serdeczną, a nieoczekiwaną przyjaźń. Obserwacja i refleksja są mocną stroną książki Karasowskiego.

Nie pozbawiony dramatów był powrót autora z zesłania – nie prosto do powojennej Polski, lecz przez rodzinne strony, żeby się *wymeldować*. Powrotowi towarzyszyły perypetie, jak zawsze pod znakiem zakłamania, złodziejstwa i wódki. Po przyjeździe do PRL Karasowski osiadł na Dolnym Śląsku, ożenił się z taką, jak i on, ofiarą sowieckiego reżimu. I przez wszystkie następne lata wiele czasu i energii poświęcił zbieraniu wiadomości o losach swoich czerwonogrodzkich rodaków i syberyjskich współtowarzyszy. A także podróżom w ojczyste strony – zawiózł tam swoją wnuczkę – a wreszcie napisaniu wartościowej książki.

Książkę rozprowadza autor.

 **Bronisław Szeremeta**, rodem z Tarnopolskiego, był żołnierzem Września, dostał się do sowieckiej niewoli, potem do łagru, z którego uciekł w 1940 r. do Lwowa. Tam – działając przez cały czas w NOWAK – przeżył aż do nadejścia *drugich bolszewików*, którzy wysłali go na 20 lat katorgi. Wrócił w 1959 roku.

Swoją wiedzę o konspiracji we Lwowie przekazał w książce pt. ***Związek Walki***

Zbrojnej zwalczany przez NKWD we Lwowie 1939–1941 (wyd. Fundacja Kresowa „Semper Fidelis”, Wrocław 1998).

Przedstawił problemy, jakie powstawały nie tylko w styczności z okupantem, ale i te, które wynikały z wewnętrznych trudności organizacyjnych, kontrowersji, różnic postaw. Z książki dowiadujemy się wiele o pewnym odcinku życia i działalności wybitnych przywódców: o gen. Sikorskim i prezydencie Raczkiewicz, o generałach Karaszewicz-Tokarzewskim, Roweckim-Grocie, Januszajtisie, Borucie-Spiechowiczu, Okulickim, płk. Pstrokońskim, Klotzu, Sokołowskim. Te nazwiska nawet dla najstarszych spośród nas na wpół legendarne, osadzają się wyraziście – dzięki książce Szeremety – w najnowszej historii Polski.

Książka do nabycia w wydawnictwie we Wrocławiu.



Większość wydanych relacji o walce niepodległościowej w latach II wojny, które dotąd omawialiśmy, to osobiste wspomnienia ich autorów, gdzie owe wydarzenia stanowią jakiś etap – ważny, ale etap – ich własnego życia. Książeczka **Zygmunta Goldzińskiego *Na zachód od Lwowa. Kompania Milczyce*** (wyd. „Norbertinum”, Lublin 2000) ma inny charakter: stanowi osobistą relację o działaniach i ludziach kompanii, która wykonywała swoje zadania bojowe od kwietnia do sierpnia 1944 r. w ramach akcji „Burza”, a nazwę wzięła od wsi Milczyce, gdzie miała swoje miejsce postoju i skąd wyruszyła do działań. Milczyce to wieś położona między Rodatycami – stacją na linii kolejowej ze Lwowa do Przemyśla, tuż za Gródkiem Jagiellońskim, a Rudkami.

Autor prowadzi narrację z dużym talentem literackim. Omawia ważne wydarzenia i zaangażowanie w nich kolegów i własne. Przekazuje swoje myśli i refleksje, obraz jest wprawdzie żywy i budzi zainteresowanie. To na pewno jedno z lepszych opracowań tego typu.

Książka do nabycia w księgarniach naukowych.

Kolejna seria to książki o tematyce wołyńskiej.



Wulkanowi energii, jakim jest proboszcz w Ostrogu (a zakopiańczyk z pocho-

się: kościół jezuicki i budynki kolegium oraz dwór Jabłonowskich, rozebrany na pocz. XIX w.

Czasy obecne. Kościół przywrócony do kultu w 1989 r. Pierwszym proboszczem odrodzonej parafii był ks. Władysław Czajka, obecnie jest nim ks. Witold J. Kowalów. W Ostrogu działa od 1995 r. Towarzystwo Kultury Polskiej, skupiające ok. 40 członków.

(M.T.)

RÓWNE

Położenie. Miasto powiatowe w woj. wołyńskim, leżące nad rzeką Uściem, lewobrzeżnym dopływem Horynia, przy linii kol. Kowel–Zdołbunów. Przed II wojną liczyło ponad 57 tys. mieszkańców. Stosunkowo dobrze rozwinięty był miejscowy przemysł: pracowały tu młyny, cegielnie, tartaki, browar, gorzelnia, garbarnia, olejarnia, wytwórnia wyrobów z betonu, fabryka maszyn młyńskich, zapalek i mydła, wyrobów cukierniczych. Kwitł także handel skórą, ziemiopłodami oraz wyrobami rzemieślniczymi, nastawiony głównie na zaopatrzenie Polesia.

Historia. Pierwsza wzmianka źródłowa o wsi Równe w księstwie halicko-wołyńskim pochodzi z 1288 r. W 2. poł. XIV w. Równe znalazło się na lat dwieście (do 1569) w obrębie Wielkiego Księstwa Litewskiego. Na pocz. XV w. stanowiło własność niejakiego Dyczka, ziemianina łuckiego. Jeden z jego spadkobierców sprzedał w 1461 r. wieś księciu Semenowi Nieświckiemu. Po jego śmierci wdowa Maria zbudowała zamek, który stał się rezydencją dla całej dynastii właścicieli. Ks. Maria uzyskała u Kazimierza Jagiellończyka miejskie prawo magdeburskie dla Równego, do którego uprzednio sprowadziła osadników. Po jej śmierci rządy w Równem i okolicy przejął mąż jej wnuczki, ks. Konstanty Ostrogski, po nim ich syn Eliasz. Spór o Ostrog między wdową po Eliaszu a jego bratem rozstrzygnął król Zygmunt August na korzyść Beaty Ostrogskiej i jej córki Elżbiety Górkowej, znanej jako *Halszka z Ostroga* (zob. Ostrog). Później, drogą spadków, przechodziło Równe w ręce Zamoyskich i Konięcpolskich. W XVII w. przeżyło kilka najazdów tatarskich i kozackich w 1680 r., a także kilka pożarów, niszczących zabudowę miasta. Po ostatnim z Konięcpolskich dostało się Równe w ręce Walewskich, a wreszcie Jerzego Aleksandra Lubomirskiego. Nowy właściciel wybrał Równe na swoją siedzibę, co spowodowało przebudowę częściowo zrujnowanego zamku na barokowy pałac. Podźwignął też miasto zniszczone na początku stulecia stacjonowaniem wojsk, najpierw szwedzkich w 1706 r., potem rosyjskich. Pragnąc ożywić handel i rzemiosło, sprzyjał napływowi lud-

dzenia), nie wystarczy gorliwe wypełnianie duszpasterstwa w wołyńskim mieście. Trudno wyliczyć wszystkie wątki i efekty jego aktywności. Przede wszystkim wydaje dwumiesięcznik „Wołanie z Wołynia”, o którym piszemy w tym numerze, a obok czasopiśma powołał do życia bibliotekę, która może się już poszczycić paronastoma ciekawymi pozycjami. Omawiamy kilka z nich także w tym numerze, a o paru pisaliśmy już wcześniej. Pisze też sam książki.

Ks. Witold J. Kowalów interesuje się życiem nie tylko swojej placówki. W książce **Zmartwychwstały Kościół** (Biblioteka „Wołania z Wołynia”, Biały Dunajec–Ostróg 1998) opisał stan parafii i świątyń w dekanacie równieńskim (jest to zapewne pierwsza pozycja serii omawiającej całą diecezję wołyńską). Z książki dowiadujemy się, że obecny ten dekanat obejmuje obszar aż sześciu i pół dekanatów przedwojennych. Do 1939 r. było w nich 67 parafii, a dziś jest w sumie 15, przeważnie w większych miejscowościach. Liczba parafian w niektórych nie przekracza 100 osób. Zachowaniu *status quo*, a może i rozwojowi sprzyja intensywna praca wołyńskich duszpasterzy z dziećmi i młodzieżą. I tu za niezbędne uważamy podtrzymywanie polskości. Depolonizacja byłaby prędzej czy później klęską rzymskiego katolicyzmu. Na to Księdzu Witoldowi zwracamy uwagę.

Autor opisuje wszystkie świątynie dekanatu, ich stan, odbudowę, upiększanie. Opisom towarzyszą liczne zdjęcia obiektów, wiernych, uroczystości, a także kopie dokumentów. Niektóre z nich jednak budzą w nas mieszane uczucia. Na sąsiadujących ze sobą stronach 78–79 znajdujemy fotografię położonego przed kościołem w Równem kamienia z cytatem: *Ty jesteś Piotr-Skała...* wyłącznie w języku ukraińskim. Obok fotografia pisma arcybiskupa lwowskiego – ani słowa po polsku, wyłącznie z nadrukiem na papierze *firmowym* i podpisem *dostojnego* nadawcy.

Książkę rozprawdza Ośrodek „Wołanie z Wołynia”, 34-520 Poronin, skr. poczt. 9.

📖 Nasze wątpliwości w kwestii kierunku rozwoju sytuacji Kościoła na Wołyniu pogłębia lektura pięknej książki, wydanej przez „Calvarianum” (Kalwaria Zebrzydowska 1993) pt. **Zarys dziejów diecezji łuckiej**



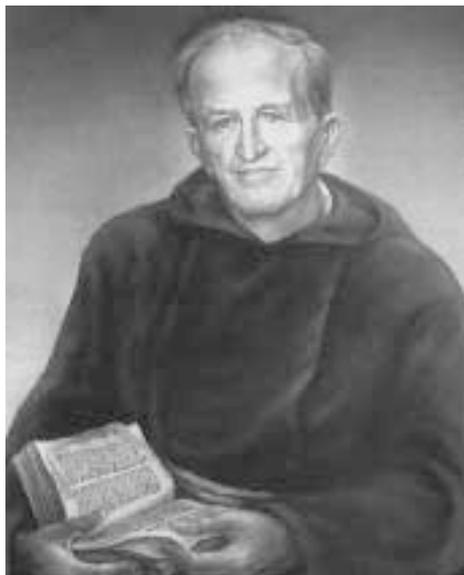
Matka Boska Łucka, kopia obecnie w Siedlcach k. Olsztyna. Oryginał (będący z kolei kopią obrazu MB Śnieżnej z Rzymu) pochodził z 2. poł. XVII w. i splonął w czasie pożaru katedry łuckiej w 1924 r. Ta kopia, przywieziona z Wołynia, jest niewiadomego pochodzenia. W katedrze łuckiej znajduje się obecnie współczesna kopia.

oraz katedry św. Piotra i Pawła w Łucku, napisana przez **Mieczysława Malinowskiego i Bogdana Kołosoka**. Autorzy poświęcają swoją pracę księżom i wiernym, *którzy tworzyli historię tej umęczonej diecezji*.

Historia to ciekawa i pouczająca. Biskupstwo rzymskie istniało na Wołyniu już z końcem XI wieku – we Włodzimierzu formalnie diecezja powstała w połowie XIV w., a Kazimierz Wielki zbudował tam katedrę. Drugim ośrodkiem był Łuck i tamże przeniesiono w 1427 r. stolicę diecezji. Pierwszym biskupem łuckim (a szóstym włodzimierskim) był Jędrzej Szałwowski, a ostatnim przed II wojną 64. z kolei Adolf Szelażek (postać wybitna, prześladowany przez Sowietów, zmarł w 1950 r., pochowany w Turuniu). Jednym z ordynariuszy łuckich był w latach 1617–22 Andrzej Lipski, który bogato wyposażył katedrę krakowską i ufundował kaplicę św. Macieja na Wawelu. W latach 1790–96 biskupem łuckim był Adam Naruszewicz, znakomity dziejopis, uczestnik Sejmu Czteroletniego. Obecnie biskupem jest ks. Marjan Trofimiak (co wcale nie oznacza, że diecezję łucką można już do woli depolonizować. Polacy są tam nadal!).

Książka do nabycia w księgarniach katolickich.

📖 Jedną z ważniejszych pozycji wydawniczych Biblioteki „Wołania z Wołynia” jest biografia lwowsko-wołyńskiego kandydata do beatyfikacji, napisana przez **o. Hieronima Wachimę OFMCap** (kapucyna) pt. **Duchowa**



sylwetka Sługi Bożego o. Serafina Kaszuby (Wydawnictwo „Wołania z Wołynia”, t. 14, Biały Dunajec–Ostróg, 2000). Ojciec Serafin (Alojzy, 1910–77) urodził się na peryferiach Lwowa w rodzinie robotniczej. W 1928 r. wstąpił do zakonu Kapucynów, a studia filozoficzno-teologiczne odbywał w Krakowie. W 1940 r. na własną prośbę wyjechał na Wołyń, by tam, na terenie niemal pozbawionym wtedy księży, pełnić swoją posługę. W 1958 r. władze sowieckie zabroniły mu tego, ale pełnił nadal swoje kapłańskie funkcje w konspiracji, poruszając się nielegalnie na ogromnym obszarze. W 1963 r. udał się do Kazachstanu i na Syberię. Został za to uwięziony, ale uciekł i w dalszym ciągu wypełniał swoje posłannictwo. Zmarł we Lwowie, spoczywa na cmentarzu Janowskim.

O. Serafin godnie reprezentował typ franciszkański (kapucyni należą do wielkiej rodziny franciszkańskiej) – z własnej potrzeby żył w całkowitym ubóstwie, oddany wyłącznie służbie Bogu i ludziom.

Książkę rozprowadza Ośrodek „Wołania z Wołynia”, 34-520 Poronin, skr. poczt. 9.



Znana działaczka krzemieniecka, pani **Jadwiga Gusławska**, wydała przewodnik po swoim mieście – mieście wieszczą Juliusza, słynnego Liceum Tadeusza Czackiego i zamku królowej Bony – mieście ważnym dla wszystkich Polaków, które trzeba

ności żydowskiej, którą obdarował przywilejami. Założył w mieście nowe cechy.

Pałac ukończył w r. 1765 syn Jerzego, Stanisław Lubomirski, dając mu rokokowy wystrój wnętrz, prawdopodobnie dzieło Jana de Witte. Choć Stanisław był panem największej fortuny w I Rzeczypospolitej, jego wystawny tryb życia i wielkopańskie fantazje doprowadziły do zadłużenia dóbr równieńskich. Jego następca Józef Lubomirski (żonaty z Ludwiką Sosnowską, młodzieńczą miłością Tadeusza Kościuszki, którego oboje księstwo gościli w 1792 r.) powiększył jeszcze długi. Dla uniknięcia ostatecznej ruiny ks. Józef scedował w 1794 r. dobra równieńskie na rzecz żony, która po pewnym czasie, angażując w to swoje dobra rodzinne, zdołała doprowadzić do spłaty długów. W posiadaniu Lubomirskich Równe pozostawało do II wojny światowej. Ostatni właściciel Adam Kazimierz Lubomirski zmarł w sowieckim więzieniu w 1940 r. Stary pałac, opuszczony przez Lubomirskich w poł. XIX w. i przekazany na cele społeczno-państwowe, istniał do 1924 r. Po pożarze popadł w ruinę i ostatecznie został rozebrany w 1945 r.

Zabytki. Pałacyk „Na górcze” zbudowany ok. 1840 r. przez ks. Fryderyka Lubomirskiego w typie dworu szlacheckiego, parterowy, z czterokolumnowym portykiem, nadbudowany w 2. poł. XIX w. Zdeastwowany podczas I wojny, został sprzedany państwu i służył jako sąd okręgowy. Budynek gminajzum z lat 30. XIX w., piętrowy, z portykiem o 6 kolumnach, wzniesiony zapewne na rezydencję ks. Fryderyka, który ostatecznie umieścił w nim szkołę. Obecnie siedziba muzeum okręgowego.

Kościół parafialny pw. Narodzenia NP Marii i św. Antoniego Padewskiego, zbudowany w latach 1858–99 w stylu neogotyckim, z fasadą dwuwieżową. W 1926 r. ozdobiono wnętrze modernistyczną polichromią K. Polityńskiego, a w okna wstawiono witraże. W kościele znajdował się malowany na desce obraz Matki Boskiej, przeniesiony z dawnego, nieistniejącego kościoła (obecnie znajduje się w Mokokowie k. Włocławka). W latach 1945–59 proboszczem był tu o. Serafin Kaszuba. Po pozbawieniu go przez władze sowieckie praw kapłańskich kościół został zamknięty i przerobiony na salę koncertową, przy czym rozebrano obie wieże.

Czasy obecne. W 1991 r. na skutek starzeń miejscowych Polaków wojsko zwróciło dawny kościół garnizonowy (zbudowany w 1938 r., zamieniony przez wojsko sowieckie na salę gimnastyczną i biura), który po remoncie został przywrócony do kultu i pełni funkcję kościoła parafialnego. O wyposażenie wnętrza postarali się

pamiętać tak samo, jak Nowogródek, Toruń lub Żółkiew.

Krzemieńec jest nie tylko historycznie ważnym miastem polskim – jest piękny i malowniczy. Nie dziw więc, że ciągną tam liczni Polacy, i choć oprowadzają ich po tym mieście dwie znakomite panie: Irena Sandecka i Autorka, to bardzo było brak drukowanego materiału turystyczno-historycznego, bo słowa są ulotne, a książka zostaje. Pani Jadzia (znana nam dobrze w wizyt w Krakowie) częściowo napisała, a częściowo włączyła do przewodnika dawniejsze opracowania o historii i zabytkach miasta i pobliskich miejscowości, tworząc dawno oczekiwaną monografię, zatytułowaną **Krzemieńec i okolice** (wyd. „Sudety”, Wrocław 1999). W książce jest niestety sporo błędów drukarskich, a najbardziej dotkliwy to przekręcenie imienia i nazwiska autorki (napisano *Janina Gustowska*).

 Przed kilkunastu już laty ukazały się **Wspomnienia 1891–1970 Stanisława Sheybala** (Wydawnictwo Literackie, Kraków–Wrocław 1984), malarza i fotografika, które dziś przypominamy, ponieważ autor spędził swoje lata międzywojenne w Krzemieńcu, a zestaw fotografii w książce zawartych odnosi się do tego uroczego i kulturalnego miasteczka na Wołyniu.

Droga rodziny autora do Polski wiodła podobno ze Szkocji i Anglii, poprzez Czechy, i jeszcze przed połową XIX w. dotarła do Kołomyi. Pierwszy w rodzie kołomyjanin, Jan Sheybal, podobno źle mówił po polsku, lepiej po angielsku, dlatego nazywano go tam *Anglikiem z Kołomyi*, które to powiedzonko zrobiło potem karierę. Wierzymy autorowi, że właśnie tak było (a co na to panie kołomyjanki dr Danusia i red. Bożena Krupskie?).

W Krzemieńcu S. Sheybal został zaangażowany jako nauczyciel w Liceum. Nie wystarczyło mu nauczanie rysunku, a nawet rozszerzenie go o malarstwo, grafikę, wiadomości o sztuce itd. Wprowadził tam też fotografię, a nawet w 1929 r. zorganizował ogólnopolską wystawę fotografii artystycznej. Zamierzenie poparł sam Jan Bułhak oraz lwowski fotografik Jan Neuman. Wystawa była podobno sukcesem, który bardzo spopularyzował w całej Polsce piękno Krzemieńca. Książka dostępna jedynie w antykwariatach.

Na koniec dwie książki o tematyce lwowskiej:

 Pod Wawelem ma swoją *kwatere główną* ogólnopolski **Harcerski Krąg Obrońców Lwowa 1939**, zorganizowany przy Chorągwi Krakowskiej ZHP. Zjeżdżają się corocznie – ostatnio w bazie harcerskiej w jurajskiej Korzkwi – starsi dziś, ale niezmiennie żywotni panowie i panie z Krakowa i Wrocławia, Warszawy i Częstochowy, Bielska-Białej, Bytomia, Olkusza i wielu jeszcze innych miejscowości swojego powojennego zamieszkania. I co ważne: po każdym zjeździe wydają tomik pod tytułem *Od lat najmłodszych do późnej siwizny*, a ostatnio ukazały się dwa: IX za 1999 r. i X za 2000 r.

Każdy z tomików zawiera materiały różnorodne: wspomnienia o wydarzeniach i ludziach (niektóre z nich mogą mieć historyczne znaczenie), kopie dokumentów, biogramy, wiersze i nuty, fotografie i rysunki, komunikaty organizacyjne i sprawozdania. Bywają interesujące dla środowiska przedruki z prasy i – niestety – nekrologi.

No właśnie, pokolenie uczestników Obrony Lwowa 1939 r. nieubłaganie przerezedza się, ale pozostaje po nich moc materiału i dokumentów aktywności.

Tomików nie ma w sprzedaży.

Stefan S. Łukowski

 Dom Wydawniczy „Bellona” (Warszawa 1998) wydał książkę **Agnieszki J. Cieślikowej** pt. **Oddziały Legii Kobiet 1918–1922**. Legia powstała z inicjatywy Aleksandry Zagórskiej, żony znanego lwowskiego lekarza, a matki legendarnego Jurka Bitschana. Zagórska, doświadczona aktywistka Związku Strzeleckiego i Organizacji Bojowej PPS, na wiadomość o opanowaniu przez Ukraińców części Lwowa, dostrzegła potrzebę stworzenia z grupy sanitariuszek – oddziału kurierskiego do przenoszenia meldunków, rozkazów, a także broni i amunicji.

Książka została napisana w oparciu o akta Ochotniczej Straży Kobiet, znajdujące się w Centralnym Archiwum Wojskowym, i zbiorów rękopisów Biblioteki Narodowej. Tłem dla głównego tematu książki jest przypominany przez autorkę udział kobiet polskich w akcjach zbrojnych okresu zaborów. Zgodnie z panującą wtedy obyczajowością, kobiety nie były brane pod uwagę jako partnerki w walkach. Historia odnotowała jednak sporadyczny udział kobiet, takich jak

Emilia Plater czy Lucyna Żukowska, która wstąpiła do partii Langiewicza i uczestniczyła w akcjach. Przykład tych dzielnych ochotniczek oraz tendencje emancypacyjne zadziałały inspirująco, tak że na początku XX wieku kobiety dość licznie zgłaszały się na przeszkolenia wojskowe w Związkach Strzeleckich i działały w organizacjach przygotowujących młodzież do walki zbrojnej.

Wysoce patriotyczna postawa kobiet lwowskich spowodowała, że wiele z nich szybko zareagowało na propozycję A. Zagórskiej, wstępując ochotniczo do Legii. Oddziały OLK powstały później także w innych miastach.

Sprzedaż wysyłkową prowadzi DW „Bellona”, Warszawa, ul. Grzybowska 77.

Irena Suchanek

Jest co czytać (12, 13)

WOŁANIE Z WOŁYNIA

Ostróg to prastare, pięknie położone na wołyńskich wzgórzach miasto, nad rzeką Wilią (ale nie tą wileńską!), tuż przed jej ujściem do Horynia. Było gniazdem zasłużonego dla Rzeczypospolitej rodu książąt Ostrogskich. Ci ufundowali piękną cerkiew zamkową, która miała wtedy cechy gotyckie – widomy znak więzi tej ziemi z Zachodem (podobnie w pobliskim Międzyrzeczu Ostrogskim). Aby to zatrzeć, Rosjanie w czasie zaboru przebudowali ją w stylu moskiewskim. Dziś jest zgrzytem w pięknej sylwecie Ostroga.

Szczęśliwie jest w tym mieście także kościół rzymskokatolicki, z fundacji tychże Ostrogskich. Po pożarze w XIX w. został odbudowany w stylu eleganckiego klasycyzmu. A dlaczego nie w swoim dawnym stylu? Bo zaborcy nie tolerowali oczywistego dowodu wieków nierosyjskich dziejów tego miasta. Obie więc świątynie są przykładem, jak się poprawia historię. Dziś też mamy liczne tego przykłady, choćby w Szeginiach, tuż za granicznym szlabanem.

Przy tym to kościele dzieją się rzeczy ciekawe i piękne. Proboszczem jest tu od wielu lat energiczny ks. Witold Józef Kowalów, zakopiański góral (piszemy też o nim w innym miejscu tego numeru). Dziełem i sukcesem ks. Witolda jest powołanie do życia dwumiesięcznika „Wołanie z Wołynia”,

wołyniacy zamieszkali w RP. Proboszczem jest ks. Władysław Czajka.

W Równem działa od 1991 r. Towarzystwo Kultury Polskiej, które skupia ok. 200 członków.

WIŚNIOWIEC

Położenie. Miasto w powiecie krzemienieckim, woj. wołyńskim, położone nad Horyniem, między dwoma wielkimi stawami, 20 km na płd. od Krzemieńca. W okresie międzywojennym liczyło ponad 4000 mieszkańców. Pracowały tu młyny, dobrze rozwinięty był handel.

Historia. Wiśniowiec jest bardzo starą osadą, ale data jej powstania nie jest znana. Przyjmuje się, że założycielem był Dymitr Korybut, syn wielkiego księcia Olgierda, który otrzymał od Witolda kilka grodów na Wołyniu w zamian za księstwo siewierskie i w 1394 r. zbudował w tym miejscu zamek. Nie znajduje to jednak potwierdzenia w źródłach historycznych. Nazwa Wiśniowca po raz pierwszy występuje w przywileju Władysława Warneńczyka, nadającym tamtejsze dobra w dzierżawę Wasylowi, synowi Fedka, księcia nieświckiego. Wasyl pozostawił trzech synów, którzy w 1463 r. podzielili się spuścizną po ojcu. Wiśniowiec dostał się wtedy Sołtanowi, który pierwszy nazwał się kniaziem Wiśniowieckim. Po jego bezpotomnej śmierci dobra do niego należące przeszły na jego bratanków. Wiśniowiec przypadł wówczas Michałowi, który jest właściwym protoplastą rodu Wiśniowieckich.

W latach 1494 i 1500 Tatarzy spalili miasto, w 1502 r. spustoszyli jego okolice. W 1512 r. oddziały polskie, liczące 6000 zbrojnych pod dowództwem hetmanów Konstantego Ostrogskiego i Mikołaja Koniecpolskiego odniosły zwycięstwo nad Tatarami koło wsi Łopuszna (2 km od Wiśniowca). Rozbite wówczas zostało czterokrotnie silniejsze wojsko tatarskie, uwolniono 16 tys. jeńców, odebrano znaczne łupy.

Synowie kniazia Michała, Aleksander i Iwan, dali początek dwóm liniom rodu: starszej, która wygasła ze śmiercią króla Michała Korybuta-Wiśniowieckiego w 1673 r., i młodszej, która skończyła się na Michale Serwacym w r. 1744. Wiśniowiec pozostawał przez cały czas w rękach tego rodu, z krótką przerwą na przełomie XVI/XVII w., gdy w 1593 r. dostał się w posagu Aleksandrze, zamężnej za ks. Jerzym Czartoryskim. W 1614 został odkupiony przez Michała Wiśniowieckiego, ojca Jeremiego. Jeremi, odziedziczywszy Wiśniowiec, przebudował zamek, powiększając go i wzmacniając obwarowania, ufundował kościół i klasztor karmelitów bosych. Po śmierci syna Jeremiego, króla Michała, Wiśni-

który stał się pismem diecezji łuckiej (podobnie jak „Radość Wiary” dla archidiecezji lwowskiej). Pismo to formatem i objętością niewielkie (A5, 48 stron), jest jednak bogate w treści. Ks. Redaktor i jego współpracownicy dobierają zawartość każdego numeru pomysłowo i starannie, zwracając uwagę na czytelnika, którego tradycyjną i spontaniczną wiarę trzeba dopiero podbudować głębszymi treściami i kulturą, oczywiście dla nas, którzy nie przeżyliśmy półwiekowego oderwania od skarbnicy chrześcijaństwa w jego zachodnim rozumieniu.

W każdym numerze jest kilka artykułów typowo religijnych. Potem nieco historii, opisów zabytków architektury i sztuki – w wymiarze powszechnym i lokalnym. Dalej opowieści o ludziach – głównie kapłanach związanych z Wołyniem, o działaczach wołyńskich, dawniejszych i współczesnych. Są również wiadomości z regionu – o świątyniach, uroczystościach, imprezach, kronika parafialna. Jest jeszcze literatura: obecnie „biegnie” *Mały ksiągę* St. Exupery’ego (to dobry wybór!). Dużo wierszy, najczęściej wołyńnian, ze Słowackim na czele. Ilustracji sporo (fotografii i grafiki), dobrej jakości, podobnie jak i cała robota drukarska.

W sumie piśmko jest na dobrym poziomie, ciekawe i kształtujące.

A co nam się nie podoba? Każdy medal ma wszak dwie strony. Pismo wychodzi w dwóch mutacjach: polsko- i ukraińskojęzycznej. Powstaje pytanie: czy wersja polska nie jest przeznaczona głównie na użytek *tej strony granicy*? Czy rozpowszechniając wersję ukraińską nie eliminuje się z życia tamtejszych Polaków – którzy wszak rzymski katolicyzm przez pół wieku przechowali w sercach, by mógł fizycznie zmartwychwstać – resztek ich polskości? Znamy odpowiedź: jakaś liczba wiernych zna lepiej język ukraiński niż polski albo w ogóle nie władają polskim. Nasze obserwacje (i rozmowy) wykazują jednak, że nie władający na co dzień swoim językiem Polacy, a nawet Ukraińcy w kościele rzymskokatolickim chętnie modlą się po polsku. Dlaczego im to odbierać?

Piszemy o tym ostatnio coraz częściej – czy bierze się pod uwagę na dalszą perspektywę, że Polacy (a przynajmniej uważający się za takich), jeżeli już całkiem za-

tracą polszczyznę, powoli stracą kontakt także z Kościołem rzymskim. Stare pokolenie jeszcze wytrwa, średnie – o ile nam wiadomo – jest nijakie, a najmłodsze może się poddać naciskowi otoczenia: prawosławie ich wessie przez małżeństwa, bliskość cerkwi. Tak przecież działo się i w przeszłości, dopiero we Lwowie, najpierw bp Puzyra (późniejszy kardynał krakowski), potem abp Bilczewski to zauważyli. Czy nie należy więc pójść ich śladem, zamiast stosować środki doraźne, nietrwale? Szczęśliwie w Ostrogu jest polska szkoła sobotnia – trzeba, żeby ich było jak najwięcej. To może być ratunkiem dla Kościoła rzymskokatolickiego na tamtych ziemiach. I to jest właśnie *wołanie z Wołynia**.

Antoni Grochal

Na koniec – dla tych, którzy w takiej czy innej formie chcieliby pomóc Kościołowi na Wołyniu i omawianemu pismu, podajemy kilka adresów i numery kont:

Ks. Witold Józef Kowalów
Redakcja „Wołanie z Wołynia”
skr. poczt. 9, 34-520 Poronin
BS ZAKOPANE O/BIAŁY DUNAJEC
Nr 88211019-109862-27404-1-4

Spółeczny Komitet Pomocy Parafii
Rzymskokatolickiej w Ostrogu na Wołyniu
PEKAO SA I O/JANÓW LUBELSKI
Nr 10701669-52360-2221-01001

Odbudowa kościoła w Zdołbunowie
Ks. Andrzej Ścisłowicz
Podczerwone 88, 34-470 Czarny Dunajec
BS ZAKOPANE O/BIAŁY DUNAJEC
Nr 88211019-149217-27404-1-1

* Zupełnie nie rozumiemy, dlaczego o biskupie Trofimiaku pisze się *władyka*? (WzW 3/2000, s. 3).

ŻYCIE KRZEMIENIECKIE

W 1990 roku powstało Polskie Towarzystwo Miłośników Krzemienia i Ziemi Krzemienieckiej z siedzibą w Poznaniu. Tam też odbył się kilka miesięcy później (1991) I Krajowy Zjazd tego Towarzystwa, na którym wybrano stały Zarząd oraz Komitet Redakcyjny „Życia Krzemienieckiego”, półrocznika, organu prasowego Towarzystwa. Pismo

nawiązuje do miesięcznika o tym samym tytule, wydawanego w Krzemieńcu od 1931 r. do wybuchu wojny.

W ciągu minionych 10 lat ukazało się 20 numerów + jeden specjalny, poświęcony w całości Juliuszowi Słowackiemu. W „Życiu Krzemienieckim” publikowane są artykuły historyczne i wspomnieniowe, relacje z wycieczek, poezje, komunikaty. Drukowane materiały dotyczą samego Krzemieńca i jego okolic, Wołynia, Kresów lub wybitnych osób związanych z regionem. Artykuły są ilustrowane fotografiami archiwalnymi i współczesnymi. Objętość poszczególnych numerów stopniowo się powiększała – od 16 stron do dzisiejszych 64 (w formacie A4). Równocześnie wzbogacała się różnorodność tematyczna. Jako czasopismo wewnętrzne PTMKiZK, poszczególne numery rozprowadzane są przez Zarząd Towarzystwa do kół krzemieńczan w kilku ośrodkach w Polsce oraz do odbiorców indywidualnych. Redaktorem naczelnym jest dr Bogdan Jankowski w Poznaniu.

Oto przykładowe pozycje publicystyczne z niedawno wydanego numeru 20 ŻK: wiadomości o życiu bieżącym Towarzystwa; sylwetki współczesnych działaczy polskich w Krzemieńcu; zarys dziejów Szkoły Rolniczej w Białokrynicy; sylwetka hr. M.A. Tarnowskiego, marszałka szlachty krzemienieckiej w XIX w.; historia dzieci z Wołynia w sierocińcu w Pieskowej Skale; wspomnienia sybirackie, wojenne, młodzieżowe; historia starań o pomnik J. Słowackiego w Warszawie; apele, listy otwarte; wspomnienia pośmiertne.

Pismo w ciągu 10 lat przyczyniło się do integracji krzemieńczan, rozproszonych w całej Polsce, a także na emigracji.

Danuta Trylska-Siekańska

Wertując wydawnictwa

⇒ O kwartalniku „Przeszłość i pamięć” pisaliśmy już przed dwoma laty (CL 3/98). Od tamtego czasu ukazało się kolejnych kilka numerów, coraz grubszych i coraz bogatszych w treści. Trudno omawiać dokładnie wszystkie, ale zauważyć trzeba, że obecnie Redakcja nie ogranicza się do dokumentowania miejsc pochówków ofiar wojen i prześladowań, lecz w coraz większym zakresie omawia historyczne wydarzenia i postacie,

wiec przeszedł na własność młodszej linii rodu w osobie ks. Dymitra Jerzego.

W 1672 r. zamek wiśniowiecki został na skutek zdrady zdobyty przez Turków, załoga w pień wycięta, a miasto obrócone w perzynę. Pragnąc je podźwignąć, król Jan III w 1677 r. uwolnił je na lat 12 od wszelkich ciężarów oprócz ceł koronnych. W 1722 r. na ruinach zamku ks. Michał Serwacy postawił pałac. W 1741 r. jego wnuczka, Katarzyna Zamoyska, wychodząc za mąż za Jana Karola Mniszcha, wniosła mu Wiśniowiec wraz z 13 kluczami folwarków. J.K. Mniszech był jednym z pierwszych organizatorów wolnomularstwa w Polsce i już w 1742 r. założył lożę w Wiśniowcu. Ich syn Michał Jerzy, marszałek koronny, dużo przebywał w Wiśniowcu, starając się przywrócić mu dawną świetność. Nowego blasku nabrało życie dworskie, uświetniane przedstawieniami teatralnymi. Książę z zamilowaniem gromadził pamiątki historyczne. Dwukrotnie goszczono tu króla Stanisława Augusta: w 1781, gdy król spotkał się tu z w.ks. Pawłem (późniejszym carem Pawłem I), i w 1787, gdy udawał się do Kaniowa na spotkanie z ces. Katarzyną II i ces. Józefem II. Park pałacowy, urządzony z końcem XVIII w. przez słynnego ogrodnika Miklera, należał do najpiękniejszych na Wołyniu.

Wiśniowiec był własnością Mniszców do czasów Andrzeja Jerzego, wnuka Michała Jerzego. W 1846 r. wywiózł on część zbiorów pałacowych, zgromadzonych przez poprzedników, w tym płótna Holbeina, Rembrandta, van Dycka oraz 200 cennych druków i część rodowego archiwum. W 1852 r. sprzedał Wiśniowiec gruzińskiej księżnej Abamelek. W 1857 r. Włodzimierz Broel-Plater, kierowany pobudkami patriotycznymi, odkupił od niej Wiśniowiec, ale ta, opuszczając pałac, wywozła 20 wozów sprzętów, obrazów i starodruków. Plater, uratowawszy co się dało z pamiątek po Wiśniowieckich i Mniszcach, doprowadził wnętrza pałacowe do porządku i wzbogacił zbiorami przewiezionymi z rodzinnego Worobina. Szczególnym staraniem otoczył bibliotekę, która za jego czasów wzrosła do 21 tys. tomów. Utrzymanie Wiśniowca przekraczało jednak możliwości finansowe Platera i w 1876 r. majątek został wystawiony na licytację. Nabył go kijowski bankier nazwiskiem Toll, który ogłosił pałac z reszty wyposażenia, wywoząc je do Kijowa i Petersburga. Następnym właścicielem Wiśniowca był Paweł Demidow, który zapenił pałac swymi rodzinnymi zbiorami, zajął się jego odnowieniem i chętnie skupował przedmioty należące niegdyś do wyposażenia wnętrza pałacowych. W 1913 r. pałac zakupiony został przez hr. Zygmunta Grocholskiego. W 1920 r. żołnierze bolszewicy całkowi-

a nawet rody ważne dla naszych trudnych dziejów. Zatrzymajmy się więc nad ostatnio nadesłanym numerem 1/2000. Wśród zawsze interesujących materiałów sporo *leopolitanów*: Już okładkę zdobi piękne zdjęcie oryginalnego w swej formie kościoła w Podhorcach.

Niezwykle dla nas interesujący jest artykuł Jolanty Adamskiej, który przypomina nam ród jakby dziś zapomniany – Herburtów. To jedna ze znamienitszych rodzin magnackich Wschodniej Małopolski doby staropolskiej. Herburtowie, szczególnie w wiekach XV–XVII zajmowali wysokie stanowiska państwowe i spokrewnieni byli z największymi rodami polskimi. Zostawili sporo śladów swojej obecności i działalności – z nimi związane są nazwy i zabytki Dobromila, Felsztyna (k. Sambora), Sąsiadowic i szeregu innych. Fundowali kościoły w Samborze, Nowym Mieście, Kulikowie. Pozostały i innego typu dokumenty ich historii: pamiętamy wszak, że *ojciec poezji polskiej* Mikołaj Rej urodził się z Herburtówny.

We Lwowie była ulica Herburtów (boczna Kaddeckiej). W pięknych willach – m.in. po profesorze Bartlu – wymieniają się od półwiecza obcy dygnitarze, nawet fotografować *nie nada*.

Ewa Ziółkowska omawia historię Kwatery Powstańców Styczniowych na Cmentarzu

Łyczakowskim (skupiającą 230 grobów), a także inne groby powstańców 1863 r., rozproszone po całym cmentarzu (jest ich 400). Przedstawia sylwetki bohaterów w nich pochowanych, z których najwybitniejsi to Szymon Wizunas-Szydłowski, Benedykt Dybowski, Bronisław Szwarce, Józef Śmiechowski, Antoni Jeziorański, Michał Heydenreich.

Kolejne *leopolitana* to tej samej autorki opowieść o dwóch pomnikach Jana Kilińskiego – lwowskim i warszawskim. Ten pierwszy powstał w roku Powszechnej Wystawy Krajowej 1894 (w setną rocznicę Insurekcji Kościuszkowskiej) w Parku Stryjskim, nazwanym przy tej okazji imieniem Kilińskiego, a nieopodal, w obrębie Wystawy otwarto wtedy Panoramę Raclawicką*. Warszawski pomnik odsonięto w 1934 r., powtórnie zaś, po zniszczeniu przez Niemców i powojennej odbudowie, w ćwierć wieku później. A lwowski pomnik niszczeje bez wojny...

Prof. Andrzej Kola przedstawia lustrację dwóch krypt w katakumbach Cmentarza Orłąt, których stan techniczny budził niepokój. Otwarcie ich i oględziny rozprzeszyły jednak te obawy. Obie zachowały się w dobrym stanie, nie było tam też włamań, jak do innych krypt.

O cmentarzu łagrowym z czasów bolszewickich na Zamarstynowie piszą *Ewa Ziółkowska* i *Stanisław Filipiak*. Pogrzebano tam 330 osób, ale w tym tylko 4 Polaków, głównie Niemców i Austriaków (304) oraz Węgrów, Czechów, Jugosłowian i Francuza.

Wreszcie w dziale *Dokumenty i materiały* zaprezentowano wymianę listów między Konsulatem RP a administracją Lwowa na temat zaginięcia jednej z dwóch rzeźb lwów z Cmentarza Orłąt, która do niedawna stała przy wylocie z miasta na Brody. Na koniec ZG OZZ Batalionów Chłopskich w IX Okręgu Lwów–Stanisławów–Tarnopol powiadamia, iż pragnie postawić na Łyczakowie nagrobek na mogile Adama Cużytki, komendanta BCh w wymienionym Okręgu przed 1943 rokiem.

* Przypomnijmy, że z kolei z okazji 100. rocznicy tej wystawy, w 1994 r. Tow. Miłośników Lwowa i KPW w Krakowie zorganizowało *Rok Lwowski* z wieloma imprezami i wystawami. Pisaliśmy o tym w CL 1/95. Wystawę Krajową 1894 omawialiśmy w CL 2/95.



Pomnik Jana Kilińskiego w Parku Stryjskim we Lwowie

⇒ Wymieniany już w tym dziale **ks. Witold Józef Kowalów** opublikował książkę biograficzną pt. *Ks. Michał S. Głowacki „Świętopełk” (1804–1846). Folklorysta i współorganizator powstania* (wyd. Biblioteka „Wołania z Wołynia”, t. 9, Biały Dunajec–Ostróg 1999). Książka nie dotyczy Wołynia (jak należałoby się spodziewać po autorze, duszpasterzu w Ostrogu, ale to jest jego praca magisterska z PAT w Krakowie), niemniej biografia Głowackiego może nas zainteresować z dość istotnego powodu: studiował na Uniwersytecie Lwowskim najpierw filozofię, potem teologię. We Lwowie więc nie tylko odebrał wykształcenie i formację, ale nawiązał wiele przyjaźni i żył atmosferą, która zaowocowała w jego późniejszej, pozaduszpasterskiej aktywności: podróżnika-folklorysty oraz spiskowca i powstańca.

Warto na marginesie wspomnieć, że podstawowe dokumenty dotyczące tego drugiego wątku działalności Głowackiego znajdują się w archiwach lwowskich.

⇒ Dowiedzieliśmy się o książce: **Jan Turnau** (zebrał): *Bracia zza Buga. Wspomnienia z czasów wojny* (Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1999). Nie znamy tej książki, sądząc jednak po autorze (oraz recenzencie) obawiamy się pewnej tendencyjności. Oto zdanie z recenzji A. Osęki w „Gazecie Wyborczej”: [...] *Znajdujemy w tej książce głównie wspomnienia Polaków o tym, co dobrego zrobili dla nich Ukraińcy, Kazachowie, Rosjanie, Żydzi. Zdarzają się [podkr. red.] opowieści Ukraińców o życzliwych im Polakach [...]. Łatwo jest przypomnieć, co złego zrobili Ukraińcy Polakom, a Polacy Ukraińcom [...].*

⇒ **Pamiętnik kapelana Legionów** (wyd. Prowincja Krakowska oo. Kapucynów, Kraków 1989) to wspomnienia o **Kosmy Lenczowskiego** (1881–1959), kapucyna z Krakowa, rodem z Podhala, którego losy trzykrotnie rzuciły na Wschód. Jego zapiski z tamtych okresów warte są przeczytania, a dotyczą dwóch okresów: z r. 1917, gdy autor znalazł się czasowo, wraz ze swym oddziałem, w Bolechowie, a gen. Sikorski otworzył tam szkołę podchorążych. Natomiast w 1925 r. został o. Kosma skierowany do Lwowa, do parafii prowadzonej przez kapucynów, i pozostał tam do 1936 r. (z tego

cie zdewastowali pałac. W 1924 r. Sejmik Krzemieniecki, z inicjatywy starosty Zygmunta Robakiewicza, zakupił pałac wraz z parkiem. Po odrestaurowaniu pałac przeznaczono na szkołę rzemieślniczą, dom sierot i szpital.

W XIX w. Wiśniowiec był miasteczkiem o drewnianej zabudowie. Pracowała tu fabryka sukna, kilka garbarni i browar, co niedziela odbywały się targi. Duży procent ludności stanowili Żydzi, którzy oprócz synagogi mieli tu 6 domów modlitwy.

Zabytki. Kościół i klasztor karmelitów bosych, wybudowane w 1645 r., w 1726 odrestaurowane po zniszczeniach z r. 1672. Kościół ponownie odnowiony w 1768 r., ale po kasacie klasztoru w 1832 r. zamieniony na parafialną cerkiew prawosławną. Po zniszczeniu przez pożar w 1863 r. nabożeństwa przeniesiono do cerkwi filialnej.

Kościół parafialny rzym.kat. pw. św. Stanisława, mury, ufundowany w 1757 r. przez Jana Karola Mniszcha. W kościele znajdował się cudami słynący obraz św. Antoniego Padewskiego, a w krypcie groby Mniszchów.

Cerkiew filialną pw. Wniebowstąpienia Pańskiego, zwaną *zankową* (usytuowana u stóp góry zankowej) wzniesiono w 1530 r., a w latach 1872–73 odnowiono w stylu rosyjskim. W krypcie byli pochowani rodzice Jeremiego Wiśniowieckiego – Michał i Regina Mohylanka. Cerkiew pw. Narodzenia NP Marii, drewniana, ufundowana w 1845 r. przez Karola Filipa Mniszcha.

Pałac został wzniesiony w 1722 r. przez Michała Serwacego Wiśniowieckiego na górze zamkowej, na gruzach dawnego zamku. Dwupiętrowy, zabudowany w podkowę, mieścił w sobie kaplicę i salę teatralną. W otoczeniu pałacu ślady obwarowań zamkowych. Park utracił swój charakter.

(M.T.)

Hasła opracowali: Maria Taszycka (M.T.), Danuta Trylska-Siekańska (D.T.S.), Tadeusz Kukiz (T.K.).

Kronika towarzyska

Naszej miłej i bezinteresownej
Przyjaciółce

DOROCIE z Darzyckich SZLACHETKA i jej Mężowi

z okazji ich ślubu składamy serdeczne
gratulacje i najlepsze życzenia
wszelkiej pomyślności. Sto lat!

Oddział Krakowski Towarzystwa
Miłośników Lwowa i Kresów P.W.
oraz Redakcja „Cracovia-Leopolis”

okresu brak relacji). Powtórnie przybył do Lwowa w lipcu 1939 r., ale już w maju '40 uciekł do Krakowa. Zapis z tego czasu jest najciekawszy i wart by był przedrukowania w naszym piśmie, gdyby tylko było miejsce!

Wspomnienia o Lenczowskiego zostały odtworzone przez niego po II wojnie, ponieważ uciekając ze Lwowa za okupacji sowieckiej pozostawił oryginały w klasztorze na Zamarstynowie.

Książka dawno wyczerpana. Może być dostępna w bibliotekach, w antykwariatach.

⇒ W prasie i ulotkach znaleźliśmy informacje o książce, która mogłaby nas zainteresować (ale jej nie czytaliśmy):

Ks. Tadeusz Fedorowicz: Drogi Opatrzności (wyd. „Norbertinum”, Lublin 2000). Ks. Fedorowicz, rodem z Tarnopolskiego (Klebanówka k. Zbaraża) został na własną prośbę deportowany do Kazachstanu, by tam pełnić posługę kapłańską wśród wywiezionych Polaków. Po wojnie był kapłanem w Laskach. Był bratem ks. Aleksandra Fedorowicza, kandydata do procesu beatyfikacyjnego.

Kazimierz Selda

PAMIĘCI ZAMORDOWANYCH PROFESORÓW LWOWSKICH

dokończenie ze s. 25

fesorowie lwowscy, tak jak krakowscy, zginęli dlatego, że służyli prawdzie.

Nie wolno nam, żyjącym, przejść w milczeniu nad ich tragedią. Od pewnego czasu na Wzgórzach Wuleckich we Lwowie, a także – w sercu Wrocławia, gdzie osiadło tylu lwowiaków, stoją pomniki przywołujące pamięć uczonych lwowskich. Dziś tablicę upamiętniającą tę tragedię – dzięki inicjatywie em. prof. Stanisława Dżułyńskiego i na mocy decyzji Senatu Uniwersytetu Jagiellońskiego – odsłaniamy w gmachu Collegium Novum, tak żywo przypominającym dramat z listopada 1939 roku. Odsłaniając dziś tę tablicę chcemy, aby nasi następcy pamiętali o tamtych mrocznych dniach II wojny światowej i czasów stalinowskich. Niech ta kamienna tablica przypomina nam i im, że w polskim niegdyś Lwowie żyli w owych dniach ludzie, którzy służąc praw-

dzie i tylko prawdzie, oddali za tę prawdę swoje życie.

Prof.dr FRANCISZEK ZIEJKA jest rektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego od 1999 r. Z UJ związany jest od czasu swoich studiów, a pracuje tam od 1963 r. Jest historykiem literatury i badaczem świadomości zbiorowej Polaków. Napisał szereg książek, m.in. *W kręgu mitów polskich* (1977, 1997), *Panorama Racławicka* (1984, patrz CL S/99), *Paryż młodopolski* (1993), *Nasza rodzina w Europie* (1995). Członek PAU, laureat prestiżowych nagród krajowych i zagranicznych.

Wypada przypomnieć, że tablica, o której mowa wyżej, jest już drugą w Krakowie, upamiętniającą tragedię, która rozegrała się na Wzgórzach Wuleckich we Lwowie przed 60 laty. Napiszemy o niej w następnym numerze.

MEDYCYNA WE LWOWIE W OKRESIE OKUPACJI SOWIECKIEJ

dokończenie ze s. 31

pójdzie ze mną – powiedział po polsku. Odprowadził mnie w boczną uliczkę, usiedliśmy na murku. Wówczas pokazał mi dowód osobisty (*paszport*) na dowód, że jest Polakiem z Charkowa. Prosił mnie o pomoc w zarejestrowaniu się na wyjazd do Polski. Mogłem mu tylko wskazać, gdzie powinien się zwrócić w tej sprawie. Oczywiście gruchnęła wiadomość, że zostałem aresztowany przez NKWD, a koledzy, którzy ze mną stali, uciekli, jak mi potem opowiadali, biegiem w okoliczne ulice.

11 czerwca 1946 r. wsiałem z moją żoną, synem i siostrą ojca do pociągu towarowego i po trzech dniach podróży znalazłem się w Łańcucie. Zostali we Lwowie rodzice z moim najmłodszym bratem. Potem mogłem odwiedzić Lwów dopiero po roku 1955 – już tylko jako gość. Pozostał mi materiał wspomnień dla porównania ówczesnych stosunków, panujących w naszym kraju z tym, co przeżyliśmy tam pod okupacją sowiecką. Nie było wielkiej różnicy.

1994

Śródtytuły pochodzą od redakcji.

NIE TYLKO ŁYCZAKÓW

dokończenie ze s. 39

Na grobie wzniesiono ze składek społeczeństwa piękny pomnik dłuta Dykasa z wierszem Lenartowicza, zaczynającym się od słów: *Przechodniu! Obyś w Polskę, jak ten zmarły, wierzył.*

Gdy w roku 1980 władze sowieckie zlikwidowały cmentarz, trumnę z prochami Gillera wykupił Związek Narodowy Polski w USA i przewiózł na warszawskie Powązki. Grobem zaopiekowali się rozsiarani po kraju stanisławowianie, którzy zorganizowali w roku 1986 uroczystości z okazji 100-lecia jego śmierci. Młody rzeźbiarz Paweł Rubaszewski, syn zasłużonego działacza stanisławowskiego Adama Rubaszewskiego, odtworzył stanisławowski medalion z podobizną zmarłego. Nad grobem przemawiał Wojciech Ziemiński, znany działacz opozycji niepodległościowej.

Otoczony murem od strony ogrodu Hampla, ul. Żeligowskiego i terenów budowlanych, cmentarz rozrastał się wraz z miastem, z którym łączyła go aleja lipowa, u wylotu której stał do zakończenia II wojny kościół ewangelicki miejscowych Niemców. Za bramą na małym placu stała kaplica przedpogrzebowa, którą piszący te słowa oglądał w roku 1979 w stanie zupełnej ruiny i profanacji. W rok później, wraz z całym cmentarzem, uległa unicestwieniu.

Pierwsza wojna światowa i okres walk o granice Polski na wschodzie przyniosły nowe ofiary i nowe groby. W głębi cmentarza powstały kwatery żołnierzy austriackich i rosyjskich, a potem ukraińskich siczowych strzelców oraz polskich peowiaków i legionistów.

Staraniem komitetu obywatelskiego, zawiązanego z inicjatywy Józefy Fuchsówny, wzniesiono pomnik **siedmiu peowiaków** zamordowanych przez Ukraińców w maju 1919 r. Równocześnie z inicjatywą społeczeństwa polskiego zbudowano w roku 1927 grobowiec **Legionistów** z pięknym pomnikiem opartego na karabinie żołnierza polskiego.

Oba te grobowce były miejscem patriotycznych manifestacji młodzieży stanisławowskiej podczas II wojny światowej i one też pierwsze padły ofiarą sowieckiego barbarzyństwa po jej zakończeniu.

Gdy w latach 1944–46 zaczęło się wysiedlanie Polaków z miasta, zaczęła się też powolna, ale systematyczna likwidacja starożytnego cmentarza, jego ograbianie i niszczenie. Wyłamywano krzyże, zrywano narodowe emblematy, rozbijano grobowce i otwierano trumny. Cmentarz najpierw zmniejszono, zabierając jego część pod hotel „Ukraina” i teatr dramatyczny, a pod koniec lat siedemdziesiątych przystąpiono do jego ostatecznej likwidacji, która nastąpiła definitywnie w roku 1980. Niektóre trumny i grobowce, dzięki staraniom rodzin i dalszych krewnych, jak np. ojca Adama Rubaszewskiego i rodziny Zegzdów, przeniesiono na nowy cmentarz we wsi Czukałówka koło Krechowiec, inne uległy zniszczeniu.

Buldożery rozbijały grobowce, zwłoki wyrzucano z trumien, a cały cmentarz zrównano z ziemią, przekształcając go na park miejski. Koło hotelu „Ukraina” zbudowano szałę, do którego obudowy użyto kamieni ze zniszczonych grobowców.

W zamienionym na park miejscu pozostawiono 6 nagrobków, między innymi rodziny **Mroczkowskich**, ze słabo czytelnym ale jakże wymownym fragmentem wiersza Stefana Witwickiego:

*Ty, coś przez wieki
Żył z ojcy naszemi,
O powróć wnukom
Dziadów ich spuściznę!
O Boże, Polskiej pobłogosław ziemi!
– Wróc nam Ojczyznę.*

Obecnie, dzięki nowym władzom miasta, zaczyna się przywracać parkowi jego pierwotny cmentarny charakter. Odbudowano kwaterę Siczowych Strzelców i wzniesiono symboliczną mogiłę Polskich Legionistów. W roku 1991 działający w Bohorodczanach koło Stanisławowa „Energopol” zbudował kurhan ku czci Polaków pochowanych na tym cmentarzu w okresie blisko dwustu lat jego istnienia.

Dla nas, dawnych mieszkańców Grodu Rewery, rozsianych po całym obszarze III Rzeczypospolitej, a często i poza jej granicami, symbolem starożytnego cmentarza przy ul. Sapieżyńskiej jest grobowiec Agatona Gillera na warszawskich Powązkach i tablica pamiątkowa w kościele św. Karola Boromeusza na tymże cmentarzu.



Listy do redakcji

Otrzymaliśmy list z Gliwic od p. Krystyny Galińskiej, która w *Słowniku* poświęconym rzekom w CL 2/2000 zauważyła jakoby mylną informację i posądzając nas, że z Gniłej Lipy zrobiliśmy *Zgniłą Lipę*, w dodatku uchodzącą do Złotej Lipy, zamiast do Dniestru.

Droga Pani! Na str. 31 tamtego numeru Gniła Lipa jest opisana w całej swojej krasie. Ale istnieje również rzeczka (nie na tyle

ważna, by jej poświęcać osobne hasło) o nazwie Zgniła Lipa, a ta jest dopływem Złotej Lipy, opisanej na str. 45–47. Ponadto wszystkie wymienione przez Panią dopływy Dniestru są opisane w omawianym odcinku *Słownika*. Czy Pani je przeczytała? Polecamy.

Jeżeli chodzi o rzeczkę Dupę (nie zamieszczoną przez nas w *Słowniku*, a szkoda) to jej prawidłowa nazwa brzmiała prawidłowo *Duba*, ale zapewne okoliczni mieszkańcy dowcipnie ją przemianowali. O przeróbce na *Dułę* nie słyszeliśmy, ale wierzymy.

Analogiczną *dowcipną* przeróbkę spotykamy w podkrakowskiej Wieliczce, gdzie mała rzeczka o nazwie Seraf została przez mieszkańców przemianowana na *Srawę* i jako taka widnieje na starych mapach austriackich. Przepraszamy za brzydkie słowa.

ERRATA

Palnęliśmy fatalne głupstwo w *Słowniku* w CL 2/2000, poświęconym rzekom Małopolski Wschodniej. Zwrócił nam na to uwagę p. Tadeusz Petrowicz (autor znakomitych książek o tamtych, wschodniokarpackich stronach, nasz autor z paru wcześniejszych numerów): **Czeremosz** nie jest dopływem *Dniestru*, lecz **Prutu**. Dziękujemy Panu Tadeuszowi, Czytelników za zamieszczenie przepraszamy. Czeremoszu i Prucie, przebaczenie!

Sporo przeoczeń i błędów zakradło się do CL 3/2000. Przede wszystkim po tekście homilii ks. Biskupa K. Nycza (str. 2–3) opuściliśmy informację, iż jest to tekst **nieautoryzowany**. Gorąco przepraszamy Księdza Biskupa.

Na str. 35 w *Sylwetce* rodziny Badenich (wiersz 21 od dołu) omyłkowo napisano *Ludwik Krasiński* zamiast **Ludwik Badeni**.

Na str. 40 w pierwszym ustępie *Wydarzeń* pozostało niedokończone zdanie. Powinno ono brzmieć: **Stary kościół w Haliczu, zniekształcony architektonicznie przez Sowietów, pełni funkcję domu kultury i kina!**

W *Listach do Redakcji* w ostatnim akapicie nastąpiło przekręcenia nazwiska: napisano *Trojański* zamiast **Trojanowski**. Pana Adama prosimy o wybaczenie.

W tym samym tekście zniekształcono przy przepisywaniu całe zdanie (wiersze 6–10 po gwiazdkach). Powinno ono brzmieć: **Takie właśnie kuszące propozycje przyszły od p. Józefa Wiktora z Kłodzka (pisaliśmy o tym w CL 2/2000), a opracowania na ten temat już wpływają, i od p. Wacława Maślika z Wrocławia (tu konieczne wyjaśnienie charakteru).**

Czytelników przepraszamy.

W numerze następnym:

A. Trojanowski wspomina lwowską szkołę, a M. Witwicki Pasaż Mikolascha ❖ A. KostECKa pisze o umiłowanym kraju ❖ A. Chlipalski wyjaśnia, którądy do Wiednia ❖ O Jadwidze z Łobzowa ❖ Wiersz biskupa W. Bandurskiego



*NOWY ZNACZEK POCZTY POLSKIEJ, MATKA BOŻA KATYŃSKA
znanek o nominale 70 gr, opracował J. Wysocki, PWPW 1999*

Niniejszy numer CRACOVIA–LEOPOLIS został wydany przy pomocy finansowej
Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa w Warszawie

Redakcja składa podziękowanie w imieniu własnym i Czytelników

Czasopismo Oddziału Krakowskiego
Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południow-WschodnichP

Redaguje zespół: Andrzej Chlipalski (redaktor naczelny), Barbara Kościak, Janusz M. Paluch
Opracowanie graficzne: Bohdan Prądzyński Skład: FALL–Studio, Kraków
Rada Redakcyjna: Andrzej Chlipalski, Barbara Czaczyńska, Barbara Kościak, Romana Machowska,
Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska, Irena Suchanek, Maria Taszycka, Marta Walczewska, Jacek
Walczewski
Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich,
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adriastacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania
śródytułów. Artykułów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
Copyright by Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Druk: Poligrafia Kurii Prowincjalnej Zakonu Pijarów, 31-015 Kraków, ul. Pijarska 2

Spis treści

Słowo od redakcji WOŁYŃ (I NIE TYLKO)	1	Adam Trojanowski REFLEKSJA NA SZESĆDZIESIĘCIOLECIE	32
Barbara Czańczyńska FELIETON O ZBRODNI I PONIEWIERCE	1	Leszek Wierzejski NIE TYLKO ŁYCZAKÓW	38
Feliks Budzisz PRZEMILCZANE LUDOBÓJSTWO	2	Sylwetki KSIĄŻĘ Z OŁYKI	40
27 WOŁYŃSKA DYWIZJA PIECHOTY ARMII KRAJOWEJ	5	Lucjan Rydel Z BRONOWIC, PRZEZ OBRONĘ LWOWA, DO CHODOROWA	41
Rozmowy Andrzej Chlipalski ROZMOWA Z MINISTREM A. PRZEWO•NIKIEM	6	Słownik geograficzno- -historyczny DUBNO ♦ KLEWAŃ ♦ KRZEMIENIEC ♦ ŁUCK ♦ OSTRÓG ♦ RÓWNE ♦ WIŚNIOWIEC	27
Archiwum WIELCY Z WOŁYNIA	13	Z tamtej strony W RÓWNEM	43
Danuta Trylska-Siekańska NAJSYNNIEJSZE LICEUM POLSKIE	10	Andrzej Chlipalski TEGO ROKU W ZADWÓRZU WYDARZENIA	43 44
Poezja Krzysztof Kołtun SUPLIKACJE POLSKIE Z WOŁYNIA	14	W Krakowie i dalej NOTATKI	44
Proza Jerzy Masior MIASTO OBŁOK	16	Kultura ♦ Nauka Krystyna Angielska ROK REYMONTOWSKI W RÓWNEM KRONIKA	45 46
Janusz M. Paluch TU TEŻ IKWA PŁYNIE...	19	Książki ♦ Czasopisma Stefan S. Łukowski, Irena Suchanek NOWE KSIĄŻKI	47
Fotoarchiwum KOŚCIOŁY WOŁYNIA	22	Antoni Grochal WOŁANIE Z WOŁYNIA	53
JM Rektor Franciszek Ziejka PAMIĘCI ZAMORDOWANYCH PROFESORÓW LWOWSKICH	24	Danuta Trylska-Siekańska ŻYCIE KRZEMIENIECKIE	54
Eugeniusz Nikodemowicz MEDYCINA WE LWOWIE W OKRESIE OKUPACJI SOWIECKIEJ	26	Kazimierz Selda WERTUJĄC WYDAWNICTWA	55
		Listy	60